



BRAMY POWIATU

BRAMY POWIATU

KWARTALNIK NR 2(13)

CIECHANÓW 2022



Ks. kanonik Jarosław Arbat – absolwent Wyższego Seminarium Duchownego w Płocku, od 2012 r. proboszcz parafii pw. św. Zygmunta w Opinogórze.

Grażyna Czerwińska – absolwentka etnografii na UW, pracownik Wydziału Promocji i Polityki Społecznej w Starostwie Powiatowym w Ciechanowie.



Dr Tomasz Czerwiński – etnograf, Szkoła Główna Turystyki i Hotelarstwa Vistula w Warszawie.

Ewa Gładysz – koordynator Powiatowego Uniwersytetu Trzeciego Wieku w Ciechanowie.



Marzena Janina Kowalik – od 40 lat mieszka w Gdańsku, ale jej serce nigdy nie wyjechało z Północnego Mazowsza. Poszukiwaczka i kolekcjonerka „rodowych sreber, oczarowana poźółkłą fotografią”.

Ks. prałat dr Ireneusz Wrzesiński – wieloletni proboszcz i dziekan ciechanowskiej fary, studiował teologię dogmatyczną na Katolickim Uniwersytecie Lubelskim, doktorat uzyskał w Akademii Teologii Katolickiej.



Wydawca:

Starostwo Powiatowe w Ciechanowie
ul. 17 Stycznia 7, 06-400 Ciechanów
www.ciechanow.powiat.pl
ISSN 2657-7615

Skład i druk:

Drukarz Sp.j.
ul. Towarowa 2, 06-400 Ciechanów
tel.: 23 672 71 12; www.drukarz.net.pl

SPIS TREŚCI

OD REDAKCJI.....	5
<i>Grażyna Czerwińska</i> Z KART HISTORII.....	6
<i>Marżena Janina Kowalik</i> DZIEJE SZTANDARU Z PUSZKI.....	8
<i>Ks. Ireneusz Wrzesiński</i> PUSTELNIA ŁOPACIŃSKA.....	16
<i>Ks. Jarosław Arbat</i> POMIĘDZY.....	21
<i>Ewa Gładysz</i> CIECHANOWSCY SENIORZY WSPOMINAJĄ.....	25
<i>Tomasz Czerwiński</i> Z ETNOGRAFICZNEJ TEKI OD MLEKA DO SERA I MASŁA.....	35



OD REDAKCJI

Opowieści i wspomnienia z naszych Bram układają się jak okruchy mozaiki, wypełniające chociaż w niewielkiej części fragmenty białych plam tego, co minione i już nigdy nie wróci....

Calego obrazu przeszłości nie powtórzymy, ale zbieranie fragmentów ludzkich losów tworzy dla nas dziś zupełnie nową wartość i ma nieco inne znaczenie, niż dekady czy wieki temu.

Bo na to co było kiedyś, patrzymy już z innej, współczesnej perspektywy ...

W tym numerze jak zwykle - przeszłość splata się z teraźniejszością.

Na przykładzie szkoły w Trętowie wspominamy, jak funkcjonowały ciechanowskie placówki oświatowe w ubiegłym stuleciu, te wiejskie i miejskie szkoły powszechne... Jak były różne od tych dzisiejszych.

Przenosimy się w czasie do miejsc, w których czas się zatrzymał, a takim jest łopacińskie sanktuarium i w pielęgnowany w nim przez pokolenia kult maryjny... Przemierzemy też drogę z Gołotczyzny do Opinogóry, która łączy nie tylko dwie miejscowości powiatu ciechanowskiego, ale też wyznacza drogę i przestrzeń czasową pomiędzy Pozytywizmem i Romantyzmem.

Wspomnienia to podróż, podróż w czasie, którą po raz kolejny przemierzycie Państwo dzięki lekturze naszych Bram...

Starosta Ciechanowski

Z kart historii



Tablica epitafijna ks. Karola Przystańskiego
w kościele w Ciemnieuku

Kurier Warszawski donosił...



Smutna tu doszła wiadomość o zgonie nastąpionym w Opinogórze d. 14 tego miesiąca W. Stanisława Dunin Wąssowicza, Urzędnika legii honorowej, b. Kapitana gwardii. Opatrzony św. Sakramentami, przeniósł się do wieczności, otoczony łzami Żony i Przyjaciół, w których sercach Jego pamięć nie zaginie, jak równie u tych, co go znali i szanowali. Stary Przyjaciel Nieboszczyka W.K.

(Nr 20, 1849)



Nadesłany z zagranicy drogą dyplomatyczną akt zejścia Franciszka Ksawerego Karskiego, rodem z Królestwa Polskiego ze wsi Łysakowo,

guberni i powiatu płockiego, męża Dyadonny Straszewskiej, a syna Antoniego i Ludwiki z Czapskich małżonków Karskich, który mając lat wieku 65 zmarł w Królestwie Belgijskim w gminie Ixeltez Bruxelle d. 1 Grudnia 1851 r., przysłany został Prokuratorowi Królewskiemu przy Trybunale Cywilnym Gub. Płockiej.

(Nr 286, 1852)



W dniu 1 b.m. w mieście Przasnyszu, po krótkiej chorobie, przeżywszy lat 56, przeniósł się do wieczności ś.p. Józef Ostaszewski, Dziedzic dóbr Gołodczyzna i innych, w Powiecie Przasnyskim i Pułtuskim położonych, Syn niegdy Jana Chorążego Ciechanowskiego i Józefy z Okęckich Małżonków Ostaszewskich. Skon ten zasmucił i żałobą pokrył jedyną, już zamężną Córkę zmarłego, wraz z Mężem i Dziećmi oraz licznych włościan i służących, dla których zmarły litościwym i dobrym był Panem.

(Nr 243, 1852)



Nowe doświadczenia uczynione z żniwiarką P. Felixa Tyminieckiego w d. 18 zeszłego miesiąca na gruntach Majoratu Hra: Krasieńskich w Opinogórze zadowolili obecnych.

(Nr 244, 1852)



Z Ciechanowa. – Kto na nędzę nieszczęśliwych uwagę zwracając, bieży z pomocą zasiłku, ten dowiódł, że serca jego szlachetność jest ozdobą. Tobie więc Panie Ojzer Lewito z Płocka, Dzierżawco dochodów Konsumcyjnych miasta Ciechanowa, gdy przyszedłeś z zasiłkiem pieniężnym celem rozdzielenia go między osoby z tegoż miasta pochodzące, a w ostatecznej

potrzebie będące; jako naoczny świadek tych łez radości i dziękczynień, które dźwigniona niedola wynurzyć może, wspólnie z wszystkimi składam podziękę, powtarzając z obdarowanymi wynurzenia, aby DAWCA wszystkich rzeczy stokrotnie ten dar wynagrodzić ci raczył. – S. Grąbczewski.

(Nr 62, 1854)

✕ ✕ ✕

Ś.p. Barbara z Żurawskich Karczewska, wdowa po ś.p. Tertulianie Karczewskim dziedzicu dóbr Łopacina, w wieku lat 66 w dniu wczorajszym zesła z tego świata. Pozostałe w żalu pogrążone Córki wraz z Mężami i Wnuki zapraszają Krewnych i Przyjaciół na Nabożeństwo żałobne odbyć się mające w Kościele XX Kapucynów pojutrze; a następnie stosując się do życzenia zmarłej, na pochowanie zwłok jej w Kościele Parafii Popowo, w grobach rodzinnych Rodziny Skarzyńskich odbyć się mające.

(Nr 282, 1854)

✕ ✕ ✕

(A.n. z Ciechanowa). – Jak wielkim jest niechęcieniem stracić drogą sercu osobę, tak również odzyskać ją nieocenionym dobrodziejstwem. Kto zaś swą nauką, światłą radą, a szczególnie troskliwym poświęceniem w groźących nieuchronną śmiercią wypadkach niósł skuteczny ratunek, temu się należy wdzięczność bez granic. Taki to obowiązek wdzięczności ciąży na mnie względem W. Majewskiego, Pomocnika Lekarza Ptu Przasnyskiego, obecnie mieszkającego w m. Ciechanowie, który pełen znajomości sztuki lekarskiej, trafnym i szczęśliwym zastosowaniem środków medycyny oraz ciągłą czujnością, w wielkim niebezpieczeństwie będące już życie ocalił, który prawie (że się tak wyrażę) już od bram smętacza wrócił drogą mi żonę. Nie mogąc inaczej wywiązać się z zaciągniętego długu wdzięczności, te więc kilka wyrazów poświęcam Ci godny mężu na podziękowanie. – F. Z.

(Nr 7, 1859)

✕ ✕ ✕

Oprócz powziętych zamiarów co do budowy nowych Świątyń Pańskich, o jakich od czasu do czasu wspominaliśmy, zarządzono także i odnowienie niektórych, jak np. Kościoła Parafialnego i dzwonnicy w Lekowie w pow. przasnyskim, a to za sumę anszlagową rs 1.247 kop. 42 i pół.

(Nr 44, 1863)

✕ ✕ ✕

Przyjechali do Warszawy: Borkowski Stan: Obywatel z Krubina; Grzybowski Edward Obywatel z Karniewa; Przyłuski Stan: Obywatel z Wierzbna; Słupecki Alex: Obywatel z Terespoła.

(Nr 11, 1867)

✕ ✕ ✕

W Ciechanowie krzątają się około założenia Stowarzyszenia spożywczego pod nazwą „Zgoda ciechanowska”.

(Nr 25, 1875)

✕ ✕ ✕

Korzystny interes. Jest do odstąpienia Poczthalterja wraz z dwoma włókami pszennej ziemi i kompletnymi zasiewami; poczthalterja i ziemia przy kolei Nadwiślańskiej w mieście powiatowym Ciechanowie, gdzie dwa razy dziennie do miasta Przasnysza kursują karetki. Warunki na gruncie.

(Nr 128, 1880)

✕ ✕ ✕

Pamięci kapłana. W kościele parafialnym w Ciemniewku, w dekanacie ciechanowskim, diecezji płockiej, umieszczono tablicę marmurową opatrzoną stosownym napisem, wykonaną w zakładzie rzeźbiarsko-kamieniarskim pp. Szelągowskiego i Iwanowicza. Uwiecznia ona pamięć najstarszego wiekiem w diecezji tej kapłana, proboszcza miejscowego, ś.p. ks. Karola Przysańskiego, zmarłego w 90-tym roku życia, a 65-tym powołania. (Nr 229, 1911)

Wybrała Grażyna Czerwińska

DZIEJE SZTANDARU Z PUSZKI

„Istnieję o tyle, o ile czerpię, ze źródła moich korzeni”
Antoine de Saint-Exupéry

Ludzka pamięć jest ulotna, niepielegnowana blaknie i zanika, a wraz z nią umierają historie naszych przodków. Dlatego pragnę jedną z nich podzielić się z Państwem i ocalić ją w ten sposób od zapomnienia.

Miesiąc wrzesień przywołuje na myśl dwa wydarzenia wpisane w historię naszej Ojczyzny: wybuch II wojny światowej i rozpoczęcie roku szkolnego. W pamięci mojej rodziny przetrwała opowieść, która łączy ze sobą te dwa zdarzenia. Początek jej ma miejsce właśnie we wrześniu 1939 roku w Trętowie-Pełzach, gmina Bartoły, (obecnie to Gmina Opinogóra Górna) w rodzinie Heleny i Władysława Załuskich – moich dziadków po kądzieli.

Gdy wybuchła wojna, dziadkowie, mając w pamięci, jak okrutną areną walk w czasie

I wojny było Trętowo i jego okolice, postanowili wraz z rodziną Sosnowskich z Pajewa Rzyński i sąsiadami uciekać do Warszawy. Ich tułaczka nie trwała długo. W okolicach Ciechanowa uciekinierzy znaleźli się pod ostrzałem z karabinów maszynowych i gradem bomb zrzuconych przez niemieckie samoloty. Dziadek stwierdził wówczas, że trzeba wracać: „w Trętowie spokój, a my pchamy się pod bomby”. Wrócili. Mniej szczęścia mieli sąsiedzi dziadków, państwo Kołakowscy i Mossakowscy. Oni taką decyzję podjęli dopiero pod Warszawą, również wrócili do swoich gospodarstw w Trętowie - Pełzach, ale już bez dobytku, z którym wcześniej uciekali.

Po powrocie do domu okazało się, że kierownik szkoły pan Władysław Romanowski z żoną postanowił opuścić swoją placówkę.



Awers i rewers sztandaru

Dowiedziawszy się o tym, mój dziadek wysłał do nich swojego syna Ryszarda Załuskiego i poprosił o przyniesienie do domu sztandaru szkoły, który ufundowany był przez lokalną społeczność z inicjatywy pierwszego kierownika szkoły pana Feliksa Głódkowskiego. Dziadek chciał ukryć sztandar, żeby nie wpadł w ręce okupanta. Uroczyste jego poświęcenie i przekazanie szkole odbyło się w 1933 roku w kościele parafialnym w Pałukach w obecności proboszcza Piotra Jakubiaka i licznie zgromadzonych mieszkańców.

Początki oświaty na terenie gminy Bartołdy sięgają czasów zaborów. Na jej terenie funkcjonowała szkoła elementarna, gdzie nauka odbywała się języku rosyjskim. Do takiej właśnie szkoły uczęszczali moi dziadkowie. W 1918 roku na terenie gminy działała szkoła w Osyskach. Nauczycielem był pan L. Rzeczkowski. Zajęcia prowadził już w języku polskim. Było to możliwe dzięki zmianom geopolitycznym na terenie Królestwa oraz staraniom Polskiej Macierzy Szkolnej. W 1922 roku szkoła mieściła się w Załużu. Po trzech latach została zlikwidowana. W 1925 roku powołano szkołę w Rembowie. Nauczycielem był pan Długolecki. W kolejnych latach szkoła znalazła siedzibę w Sosnowie. Za każdym razem nauka odbywała się w mieszkaniu prywatnym.

Nauczaniem zajmował się wyżej wspomniany pan Feliks Głódkowski. Była to placówka 4-klasowa tzw. jednoklasówka.

Kiedy zaczęto czynić starania o budowę szkoły na terenie gminy, mieszkańcy odległych wsi zabiegali, aby budynek szkolny powstał w centralnym punkcie. Sosnowo leżało na skraju obwodu szkolnego i z tego powodu nie było dobrą lokalizacją. Zatem gmina sprzedała „wiejskie place” w Załużu i Sosnowie i zakupiła od pana Kazimierza Kołakowskiego plac w Trętowie-Pełzach pod przyszłą lokalizację szkoły.



Szkoła w Osyskach – nauczyciel L. Rzeczkowski

Budowę rozpoczęto w 1928 roku, a już jesienią 1932 roku dzieci rozpoczęły naukę w nowym budynku. Wśród nich był także ów syn mojego dziadka - Ryszard Załuski, który poszedł do czwartej klasy.

Kiedy sztandar znalazł się w domu, zaczęto rozważać różne pomysły ukrycia go. Stanęło na tym, że po starannym złożeniu włożono go do dużej puszki po cukrze, którą następnie zakopano za piwnicą na podwórku, gdzie rosły wysokie pokrzywy i tak ukrywano przez całą wojnę. Obowiązkiem córek dziadków Krysi i Danusi (mojej mamy) było wykopywanie go co kilka tygodni, wyjmowanie z puszki i wietrzenie. Tak było do wiosny 1944 roku.

Krótko po wiosennych zasiewach dziadkowie z polecenia administracji niemieckiej stali się ofiarami akcji „Verdrängung” (wypieranie lub rugowanie). Musieli natychmiast opuścić swój dom oraz gospodarstwo i wyprowadzić się do innej miejscowości w obrębie tego samego



Budynek szkoły



Połowa lat 30., w ostatnim rządzie drugi z lewej Ryszard Załuski



Moi dziadkowie Władysław i Helena z Kieszkowskich Załuscy; stoją od lewej Zofia, Ryszard, Danuta i Krystyna; lata 30.

okręgu administracyjnego. Kolonizatorowi z Kętrzyna zostawili cały swój dobytek, łącznie z ukrytym sztandarem. Na początku schronienia dziadkom i ich czwórce dzieci udzielili państwo Ropelewscy z Załuża. Po zwolnieniu się mieszkania u państwa Mieszkowskich, dziadkowie z rodziną przenieśli się do nich. Tam mieszkali do końca wojny.

Sztandar jak i cała rodzina Załuskich szczęśliwie przeżyli okupację niemiecką. Po wojnie powrócił do szkoły. Szybko się jednak okazało, że jego przeznaczeniem nie jest jawne reprezentowanie szkoły i jej uczniów. Sztandar ponownie musiał „wstąpić do podziemia i ukrywać się”. Tym razem skrytka mieściła się w szkole. Schowano go ponownie do puszek i zamknięto w małej komórcie na piętrze. Działo się to wszystko za przyczyną ówczesnego kierownika szkoły - Adama Hana. Każdy następny kierownik, który nastąpił w Trętowie podtrzymywał decyzję swojego poprzednika. Byli to: Remigiusz Nowakowski (1949-1953), Zenon Zębala (1953-1962) oraz Jan Łasiński (1962-1966). Do połowy 1966 roku sztandar był ukryty w Trętowie, skąd wyruszył w potajemną podróż do szkoły w Garnowie. Kierownikiem placówki był wówczas Jan Łasiński. Sztandar został ponownie złożony w skrytce, w której przeleżał kolejne dziewięć lat. W 1975 roku Jan Łasiński zakończył pracę w Garnowie. Zanim przekazał obowiązki swojemu następcy, wywiózł sztandar szkoły w Trętowie-Pelzach do Osieka, do domu Janiny i Zenona Zębala. Tam sztandar będzie leżał na półce w regale kolejne lata.

Tak go zapamiętała Katarzyna Zębala, córka wyżej wymienionych, obecnie Kowalska. Wspomina, że już wtedy był bardzo zniszczony. Pod skrzydłami swego wcześniejszego opiekuna spędził czternaście lat.

9 czerwca 1989 roku zakończyły się w Polsce rządy ludzi, dla których zagrożeniem był nawet kawałek płótna o wymiarach 103 x 73 cm. Sztandar odzyskał wolność i wyruszył w kolejną podróż, będącą początkiem drogi powrotu, do miejsca jego przeznaczenia. Do Opinogóry pojechał w towarzystwie Zenona Zębali i Longina Pajewskiego (mojego taty). W Gminie został złożony na ręce Agnieszki Karwackiej ówczesnej Inspektor Oświaty i Wychowania, która

jako dziecko uczyła się w Szkole w Trętowie, a w latach późniejszych była w niej nauczycielką. W tamtym czasie sztandar ukryty w puszcze, leżał w kącie szkolnej komórki. Pani Inspektor przekazała go przedstawicielowi Komitetu Rodzicielskiego ze Szkoły Podstawowej w Trętowie -Pełzach Janowi Goździewskiemu.

Wiadomość o pojawieniu się sztandaru szybko obiegła miejscową ludność. Tam, przy współpracy z ówczesną dyrektorką szkoły Elżbietą Wieczorek, zawiązał się Komitet Fundacji Sztandaru. Należeli do niego: Jan Goździewski, Janusz Sosnowski, Andrzej Nałęcz i Małgorzata Grochowska. Zadaniem komitetu było zebranie funduszy na odnowienie sztandaru i przywrócenie mu dawnej świetności. Do uroczystości, która miała miejsce 2 września 1990 roku, przygotowywano się przez cały rok. Organizowano festyny, sprzedawano ciasta, przy okazji zbierając pieniądze nie tylko na renowację sztandaru, ale również na remont szkoły. Dla lokalnej społeczności, sztandar ten, był już relikwią. Żyli jeszcze ludzie, którzy pamiętali, jak przed wojną w święto Konstytucji 3 Maja i Najświętszej Maryi Panny Królowej Polski sztandar był przywożony do kościoła na uroczystą mszę świętą za ojczyznę. Chciano zapewne, aby miejsce, do którego powróci po swojej kilkudziesięcioletniej wędrówce, było godne takiego „Tułacza”. Dzięki zaangażowaniu całej społeczności i pomocy żołnierzy z jednostki wojskowej w Ciechanowie wyremontowano szkołę. Z połączenia komórek na piętrze (w jednej z nich ukrywany był w czasach PRL-u bohater naszej historii) stworzono nowe sale lekcyjne i dzięki temu podniesiono stopień organizacyjny szkoły. Placówka w Trętowie-Pełzach stała się szkołą ośmioklasową.

W czasie gdy miejscowa społeczność zdobywała fundusze i remontowała szkołę, mniszki ze Zgromadzenia Klarysek Kapucynek w Przasnyszu pieczołowicie pracowały nad renowacją



Kierownik Adam Han z rodziną, kłęzą córki Maria i Nina – również nauczycielki



Szkoła powszechna Trętowo, oddział V i VI; w drugim rzędzie trzecia z prawej Danuta Zahuska, druga z lewej Alina Kołakowska; Rada Pedagogiczna Pan Parulski, Pani Jabłonowska i Pani Nowacka; 1945 r.



Przed wejściem do szkoły; siedzą kierownik Remigiusz Nowakowski i nauczycielka Janina Obrębska (Zębala). 24.04.1950 r.

sztandaru. Zniszczenia spowodowane ukrywaniem go w puszcze przez trzydzieści lat okazały się tak znaczne, że siostry podjęły decyzję o uszyciu nowego sztandaru, ale z wykorzystaniem w jak



Kancelaria; od lewej Zenon Zębala, Janina Obrębska, Kazimiera Brzozowska i kierownik szkoły Remigiusz Nowakowski, początek lat 50.



Kierownik szkoły Józef Zembala, lata 50.



Kierownik szkoły Józef Zembala, lata 50.

największym stopniu ocalałych fragmentów starego. Wyciągały z niego nitki i wycinały małe kawałki, używając ich do wyhaftowania nowego sztandaru.

16 sierpnia 1990 roku, kiedy prace przy szkole dobiegały końca, Dyrekcja, Rada Pedagogiczna i Komitet Fundacji Sztandaru zwrócili się do Kuratorium Oświaty i Wychowania

z wnioskiem o „Powrót Sztandaru do Szkoły”. W odpowiedzi Wicekurator Oświaty i Wychowania Maria Rutkowska w dniu 2 września 1990 roku wydała „Akt Reaktywowania Sztandaru Szkoły Podstawowej w Trętowie-Pełzach”.

Powołuje się w nim na Zarządzenie nr 36 z dnia 31 maja 1989 roku w sprawie nadawania szkołom i innym placówkom oświatowo-wychowawczym patrona, sztandaru i godła szkolnego. Niestety, mimo usilnych poszukiwań nigdzie nie odnalazłam wniosku i aktu reaktywowania sztandaru.

Szkoda! Czyżby zostały zniszczone?

Po roku przygotowań przyszedł wreszcie ten upragniony i wyczekiwany przez mieszkańców dzień. W godzinach przedpołudniowych, w niedzielę 2 września 1990 roku rozpoczęła się uroczystość „Powrotu Sztandaru do Szkoły” po ponad czterdziestoletniej tułaczce. Wydarzenie to rozpoczęło się od wprowadzenia sztandaru przez poczet złożony z dawnych absolwentów szkoły.

Zaszczyt ten przypadł Jadwidze Płoskiej, Jerzemu Nałęczowi i Danucie z Załuskich Pajewskiej. Po odczytaniu aktu reaktywacji sztandar przekazano społeczności szkolnej, a następnie odbyło się ślubowanie uczniów. Sztandar został poświęcony w czasie polowej mszy świętej, odprawionej przed budynkiem szkoły, przez ówczesnego proboszcza pałuckiego księdza Józefa Pokorskiego. Kiedy ogląda się zdjęcia, rozmach uroczystości imponuje. Zachwyca ołtarz polowy zbudowany na przyczepie ciągnikowej oraz jego zadaszenie. Widać staranność, z jaką przygotowano uroczystość, zaangażowanie organizatorów, a także podniosły charakter całego wydarzenia. Wszystko przebiegło zgodnie ze scenariuszem, tylko pogoda nie spełniła oczekiwań organizatorów. Padało. Ale może to niebo chciało zapłakać nad losem „Tułacza” I nad losem dziesiątków innych proporców, które nie miały tyle szczęścia.

Odtąd sztandar stale towarzyszył uczniom w ważnych wydarzeniach. Ten stan rzeczy trwał do 22 czerwca 2007 roku, kiedy sztandar po raz ostatni był w szkole, dla której go stworzono. Uchwałą Rady Gminy z dnia 4 kwietnia 2007 roku szkoła w Trętowie-Pelzach z dniem 31 sierpnia 2007 roku po siedemdziesięciu dziewięciu latach została zlikwidowana. Uczniów, a wraz z nimi kroniki szkolne przeniesiono do szkoły w Opinogórze. Dyrekcja szkoły gotowa była przyjąć również sztandar pod swój dach. Ale tam byłby już tylko eksponatem! Społeczność lokalna nie była zachwycona takim rozwiązaniem. Nie po to przed siedemnastuoma laty włożyli tyle pracy i serca, aby ich „Tułacz” stał się ozdobą w innej szkole.

Zatroskani zapytali swojego proboszcza, co zrobić ze sztandarem. Ksiądz Józef Pokorski podjął wówczas decyzję, że w dniu zakończenia roku szkolnego odbierze uroczyście sztandar ze szkoły i zabierze go do Kościoła w Pałukach. I tak historia naszego sztandaru zatoczyła koło. W 1933 roku wyszedł z tego kościoła, a 2007 roku do niego na stałe powrócił. Wisi w zakrystii, czasami widać go podczas procesji, o ile znajdzie się ktoś chętny, kto go poniesie. Szkoda, że tylko czasami! Obecność takiego sztandaru w parafii powinna być powodem do dumy dla mieszkańców. Może ten artykuł zachęci kogoś, może doda komuś odwagi aby z dumą sięgać po niego podczas ważnych uroczystości.

Pozostaje jeszcze odpowiedź na pytanie, co takiego było w tym sztandarze, że musiał tyle lat być w ukryciu?

Wszystkiemu winni nasi przodkowie i ich umiłowanie Boga i Ojczyzny. Awers sztandaru stanowi czerwone tło z wyhaftowanym orłem, tożsamym ze wzorem orła w godle Polski z okresu Drugiej Rzeczypospolitej, który został ustanowiony rozporządzeniem Prezydenta



Kancelaria w szkole, od lewej siedzą Janina Zębala i Kazimiera Brzozowska



Elżbieta Wieczorek, dyrektor szkoły, otwiera uroczystość reaktywowania sztandaru



Ks. Józef Pokorski odprawia mszę

Rzeczypospolitej Ignacego Mościckiego z dnia 13 grudnia 1927 roku. Nad orłem znajduje się napis: „Bóg i Ojczyzna”, a pod orłem: „Szkoła Powszechna w Trętowie-Pelzach”. Rewers stanowi białe tło oraz wyhaftowany na nim portret Matki Boskiej Częstochowskiej wraz z napisem: „Królowa Korony Polskiej”.

Takiego to właśnie sztandaru bali się zarówno okupanci, jak i władza ludowa.



Bożena Makowska, dyrektor szkoły, przekazuje sztandar proboszczowi



Danuta Pajewska i ks. Wacław Michalski ze sztandarem

Mam świadomość, że przechowywanie sztandaru w czasie wojny przez moją rodzinę nie jest jakimś wielkim bohaterstwem. Szczególnie jak zestawia się moją opowieść z opisami wielkich bitew i powstań, kiedy ludzie za miłość i przywiązanie do ojczyzny płacili własną krwią. Ile jednak taki czyn niesie za sobą wiedzy o naszych przodkach i nas samych? Należy również pamiętać, że w czasie okupacji niemieckiej w szkole w Trętowie mieścił się karny obóz pracy, najcięższy na całym Północnym Mazowszu. Dziadkowie mieszkali nieopodal szkoły, a nasi najbliżsi sąsiedzi – państwo Kołakowscy wynajmowali pokój oficerowi niemieckiemu zatrudnionemu w tym obozie. Dziadkowie i ich dzieci żyli więc pod czujnym okiem okupanta w czasach, gdy każdy Polak był godnym celem dla Niemca. Można było stracić życie za złe spojrzenie, a co dopiero za ukrywanie sztandaru.

My, jako naród, nie mieliśmy tyle szczęścia co inni mieszkańcy Europy. Liczne walki, powstania, zsyłki i zawieruchy wojenne często



Piwnica, w której przechowywano sztanda

pozbawiały nas materialnych pamiątek rodzinnych, które moglibyśmy przekazywać kolejnym pokoleniom. Dlatego tak ważne są spisywane przez nas historie. Dla mnie są „srebrami rodowymi” mojej rodziny i mojej małej ojczyzny – Północnego Mazowsza. Mają w swej przeszłości wiele pięknych kart.

Zachęcam Czytelników do takich podróży. Zanurcie się w historię własnych rodzin, odgrzebcie je i przywróćcie ponownie do życia.

Dziękuję wszystkim dobrym aniołom, które towarzyszyły mi w wędrówce za losami sztandaru, dzielili się wiedzą i cierpliwie znosili moje telefony i smsy. Szczególnie dziękuję Pani Barbarze Bielaście za słowa zasiane w moim sercu, zachęcające do spisania tej historii. Serdecznie dziękuję Paniom Urzędniczkom Gminy Opinogóra Górna, Pani Sekretarz Beatcie Golasińskiej i Annie Maliszewskiej, księdzu Wacławowi Michalskiemu - proboszczowi parafii Pałuki, Katarzynie Kowalskiej – mojej przyszywanej siostrze i nauczycielce w Szkole

Podstawowej w Gołminie, Pani Agnieszce Karwackiej i Elżbiecie Wieczorek oraz św. pamięci Panu Janowi Goździewskiemu. Dziękuję również Lenie Świdorskiej za zdjęcia oraz mojej kuzynce Asi Zbrzeznej, która spod ziemi wynajdowała dla mnie aktualne numery telefonów, co wcale nie było łatwe.

Jeśli ktoś z Państwa może uzupełnić wiedzę na temat dziejów sztandaru lub posiada jego zdjęcia, również te przedwojenne, proszę o kontakt. Istnieje duże prawdopodobieństwo, że zostały wykonane, ponieważ w Załuzu mieszkał pan Edward Kołakowski, który pasjonował się fotografią. W naszym rodzinnym albumie jest sporo zdjęć jego autorstwa.

Spisując wspomnienia, korzystałam z *Kroniki Szkolnej*, artykułu Jadwigi Toporowskiej z „Gazety Opinogórskiej” Nr 4(6) 1997 roku oraz książki Zbigniewa Ptasiewicza *Regierungsbezirk Zichenau Rejencja Ciechanowska 1939-1945*.

Marzena Janina Kowalik

Ilustracje pochodzą ze zbiorów Autorki.

PUSTELNIA ŁOPACIŃSKA

Czcigodna parafia Łopacin, pochodząca z XV wieku i z ciekawą historią, położona w dekanacie Ciechanów - Wschód w powiecie ciechanowskim posiada oprócz pięknego kościoła parafialnego dodatkowe miejsce kultu ludowego w położonej nieopodal kościoła kapliczce, zwanej Pustelnią.

Podanie ludowe głosi, że w parafii Łopacin w pobliżu kościoła w XV wieku osiedlił się pustelnik Stanisław. Prusacy podczas jednego z napadów na Ciechanów i okolice wymordowali całą jego rodzinę, a dom i gospodarstwo spalili. Boleśnie doświadczony Stanisław szukał pomocy u Boga, dlatego postanowił resztę życia spędzić jako pustelnik, oddając się modlitwie i pobożnym rozmyślaniom. Szczególnie bliska mu była Matka Najświętsza, która doświadczyła cierpienia podczas męki i śmierci swojego Syna. W oddaleniu od miejsc zamieszkałych



Kościół parafialny w Łopacinie

nad strumykiem pustelnik sporządził sobie skromny szałas i w nim zamieszkał. Starał się zdobyć obraz Matki Bożej, ale jego starania spełzyły na niczym. Postanowił więc wyrzeźbić figurkę Matki Bożej przy pomocy prymitywnych narzędzi znalezionych na śmietniku przy jednym z pobliskich gospodarstw. Praca nad rzeźbą posuwała się bardzo mozolnie, aż pewnego dnia stała się rzecz niezwykła, która radykalnie odmieniła życie pustelnika. W jego szałasie ukazała się cudowna postać niewiasty, w której Stanisław bez trudu rozpoznał Matkę Bożą. Poleciała mu dokończyć prace nad figurką i umieścić ją w kapliczce, którą miał zbudować, Złożyła również obietnicę, że woda z pobliskiego strumyka otrzyma moc uzdrawiającą, zwłaszcza z chorób oczu. Pewnego dnia Stanisława odwiedziło dwoje dzieci: Grzesiu i Kasia, które przyniosły mu kawałek chleba. Dziewczynka była niewidoma – podczas napadu bandytów na swój dom straciła wzrok. Pustelnik pomny obietnicy Matki Bożej, obmył Kasię oczyma wodą ze strumyka i dziewczynka odzyskała wzrok. Wieść o cudzie szybko rozniosła się po okolicy. Niewidomy malarz z Ciechanowa Jacek Lewandowski przybył do pustelni i pomodlił się do Matki Bożej. Obmył oczyma w wodzie ze strumyka i odzyskał wzrok. Stanisław opowiedział mu szczegółowo o objawieniu Matki Bożej i malarz wkrótce przyniósł wykonany na desce obraz Matki Bożej. Ujrzawszy go, pustelnik z niesłychaną radością stwierdził, że tak właśnie wyglądała Matka Boża. Obraz miał podpis *Janua Coeli*, co znaczy: *Brama Niebios*. Proboszcz parafii Łopacin chciał uhonorować ten łaskami słynący obraz i umieścić go nad ołtarzem głównym w kościele. Niestety obraz cudownie nocą wracał do kapliczki w pustelni, dopiero za trzecim razem lud Boży



Kapliczka w pustelni łopacińskiej

z proboszczem na czele uprosił Matkę Bożą o pozostanie w kościele. Historia tego miejsca, lasu, pustelni i wizerunku Matki Bożej przypomina bardzo objawienia Maryi w Licheniu. Tam również obraz – przenoszony z lasu do kościoła – w cudowny sposób powracał na swoje dawne miejsce.

Cudowne wydarzenia powtarzały się przed obrazem tak często, że Łopacińska Matka Boska zyskała tytuł Łaskami Słyszanej. Pustelnik Stanisław cieszył się wielkim szacunkiem u ludzi. Przychodzili do niego z prośbą o modlitwę wstawienniczą, niejednokrotnie prosili o radę. Dożył 103 lat, nie jest znane miejsce jego wiecznego spoczynku. Po jego śmierci Matka Najświętsza nie opuszczała mieszkańców parafii Łopacin. Znaczenie łopacińskiego sanktuarium wzrosło podczas epidemii, która nawiedziła okolice około 1860 roku. O dawnej historii tej

pustelni świadczy Mapa Generalnego Kwatermistrzostwa Królestwa Kongresowego z 1839 roku. Zaznaczono na niej – przy drodze do Łopacina, 100 m od strumienia – „Karczmę Pustelnia”. Musiała ona istnieć od bardzo dawna, ponieważ do dziś znajduje się tu monety z czasów króla Jana Kazimierza, Augusta III Wazy i Stanisława Augusta Poniatowskiego¹. Cuda zdarzały się nadal. Podczas wizytacji duszpasterskiej w 1763 roku stwierdzono 40 cudów za pośrednictwem cudownego obrazu Matki Bożej Łopacińskiej. Inna opowieść głosi, że terazniejsza kapliczka nie jest tą, którą zbudował Stanisław (co wydaje się być sprawą oczywistą). Obecna wybudowana jako wotum miejscowego dziedzica za szczęśliwy powrót córki, zabranej przez Niemców w czasie I wojny. Nie znamy

¹ Por. artykuł w Gościu Niedzielnym Nr 13/2022, s.6-7, Ilona Krawczyk-Krajczyńska.



Ludowa rzeźba Matki Bożej w kapliczce w pustelni łopacińskiej

również personaliów artysty ludowego, który wykonał figurę Matki Bożej. Tak w największym skrócie można przedstawić opowiadanie ludowe o pustelni łopacińskiej i genezie kultu Matki Bożej w Łopacinie².

Redaktor Ilona Krawczyk-Krajczyńska przytacza opinię śp. etnograf Ireny Kotowicz-Borowy, wg której o łopacińskiej pustelni pisał Józef Ignacy Kraszewski w powieści *Żeliga*. Autor beletryzował w niej losy jednego z magnatów, najpewniej Lubomirskiego, ukrywającego się pod przybranym nazwiskiem Żeliga. On to wybudował w mazowieckich lasach pustelnię-dwór o dzień, dwa drogi od Warszawy. Żył tu przez wiele lat samotnie, w wielkiej pobożności, i tu ukazywał mu się duch ukochanej żony, która zmarła młodo. Powieściową pustelnię Żeligi odwiedził ponoć sam król Stanisław August Poniatowski. Rzecz działa się między 1764

² Por. *Pustelnia-Brama nieba*, Jerzy Zagórski, Jowita Rutkowska.

a 1795 rokiem. Wydaje się jednak, że przeciw tej hipotezie-sugestii przemawia chronologia, ponadto w podaniu łopacińskim o Stanisławie pustelniku nie ma żadnej wzmianki o jego szlacheckim czy magnackim pochodzeniu. Nado realia geograficzne i topograficzne opisane przez autora „Żeligi” zupełnie nie przystają do terenu, w którym znajduje się łopacińska Pustelnia.

Jakie refleksje można by snuć na bazie tych na poły historycznych, na poły legendarnych przekazów? Warto wspomnieć, że w historii chrześcijaństwa pustelnicze życie rozpoczęło się w drugiej połowie III wieku, a za ojca pustelników uważa się św. Antoniego pustelnika, który żył w latach 250-356. Pochodził z bogatej rodziny w miejscowości Koma, leżącej w pobliżu Herakleopolis Minor w Dolnym Egipcie. Po śmierci rodziców rozdał majątek i rozpoczął życie ascety, a przez swój przykład, modlitwę, posty i dobre rady w znacznym stopniu przyczynił się do zwycięstwa ortodoksji chrześcijańskiej nad groźną sektą arianizmu. Wspomagał w ten sposób św. Atanazego, głównego bohatera tej batalii. Eremityzm przeszedł ewolucję w cenobityzm, czyli życie wspólne anachoretów według reguły św. Pachomiusza (V w.), by wreszcie otrzymać stabilną formę życia zakonnego według reguły św. Benedykta (540 r.). Zorganizowane życie zakonne nie wyczerpało zapotrzebowania duszy ludzkiej na poszukiwanie duchowego zbliżenia i niejako *przyłgnięcia* do Boga. W ciągu całej historii chrześcijaństwa spotykamy pustelników, żyjących niekiedy w ekstremalnych warunkach (np. Szymon Słupnik), by niejako *zamilkło ciało*, a człowiek stał się duchowym mocarzem.

W naszej diecezji, jak to niedawno opisała w „Gościu Niedzielnym” Ilona Krawczyk-Krajczyńska, pozostają nadal żywe przekazy historyczne ubogacone legendą o życiu pustelników, najczęściej przy kapliczkach upamiętniających

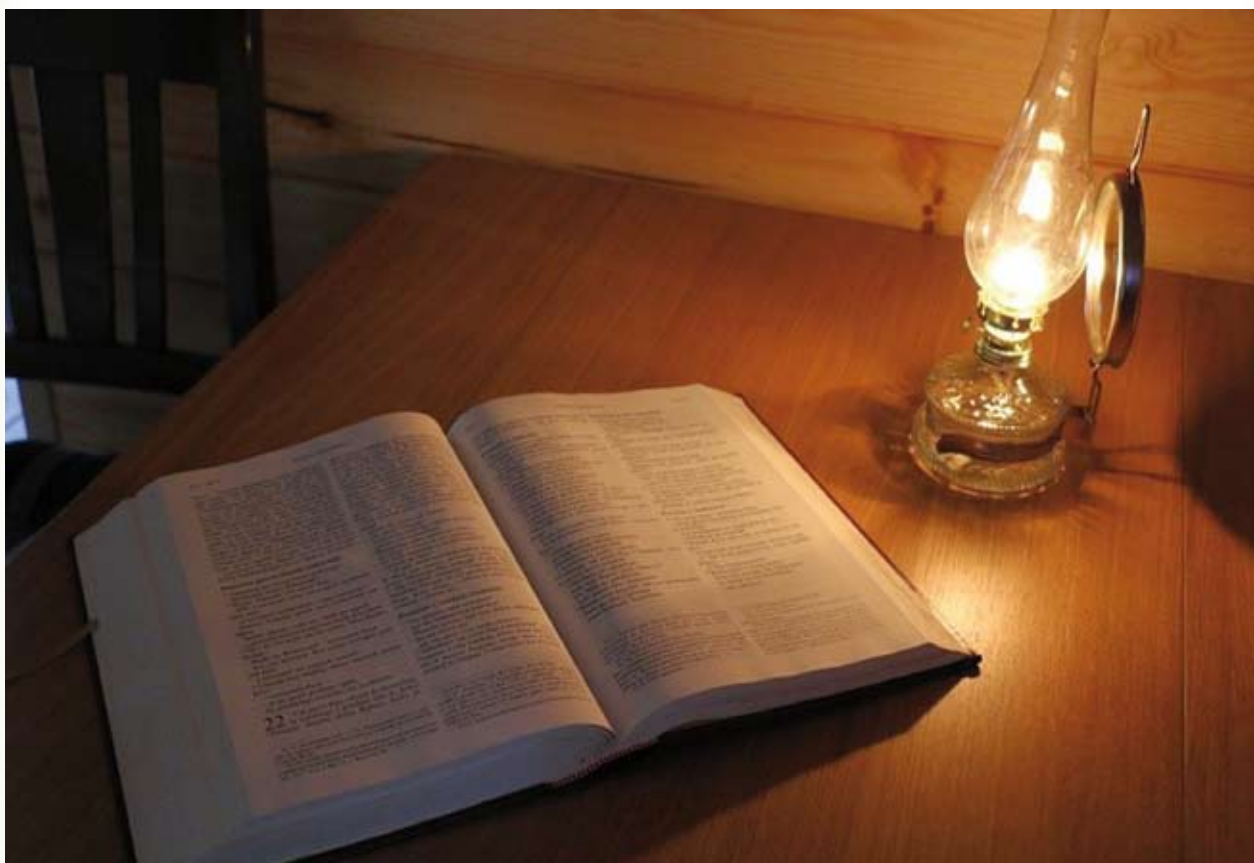
objawienia Matki Bożej. Tak jest w Studziance w parafii Żałe koło Rypina, we wsi Blizno w parafii Szczutowo, w parafii Szwelice koło Makowa Mazowieckiego, w parafii Zakrzewo-Kępa Polska i wielu innych.

Kolejna refleksja może dotyczyć wiarygodności tych przekazów, zwłaszcza tych części, które zawierają relacje o zjawiskach nadprzyrodzonych, jak objawienia i cuda. Dla ateisty, empirysty, radykalnego racjonalisty wiarygodne jest tylko *szkiełko i oko*. Warto jednak zauważyć, że twierdzenie o istnieniu w świecie wyłącznie wiecznej materii jest laickim dogmatem przyjętym darmo bez dowodów, gdyż nie można skonstruować dowodu na wieczne istnienie czegokolwiek. Ludzie wierzący uznają, że bardziej racjonalnym postulatem jest przyjęcie prawdy o istnieniu Absolutu, Bytu Doskonałego, którego ślady możemy dostrzec w świecie nawet naszymi niedoskonałymi narzędziami poznawczymi, jak powiedział Albert Einstein.



Pustelnia w Rębkowie w par. Winnica

Wierzymy w Boga Stworzyciela *wszystkich rzeczy widzialnych i niewidzialnych*. Ta wiara oparta jest na racjonalnych podstawach, które prezentuje teologia fundamentalna i apologetyka. Kościół katolicki z wyważonym dystansem i krytycyzmem podchodzi do wszelkich objawień prywatnych, *nadzwyczajnych* zjawisk i wydarzeń. Bada je dokładnie i pomimo wielu oznak wiarygodności nie zobowiązuje swoich



Wnętrze pustelni w Rębkowie



Kapliczka w pustelni łopacińskiej

wiernych do przyjmowania wiarą prywatnych objawień i cudownych zjawisk. W Lourdes we Francji Międzynarodowa Komisja Lekarzy, do której należą również wyznawcy innych religii i ateści, opiniuje niezwykle uzdrowienia z niesamowitą skrupulatnością i dopiero na podstawie takich ustaleń Kościół zalicza opisane uzdrowienia do zjawisk cudownych. Na około 7 tysięcy zgłoszonych uzdrowień Kościół uznał za cudowne jedynie 70. Bóg daje ludziom różne *znaki*, które ci mogą odczytywać według swoich dyspozycji umysłowych i wolitywnych. Nie wydaje się jednak rzeczą słuszną, by w imię dogmatyzmu materialistycznego zaprzeczać totalnie wszelkim wielowiekowym tradycjom pobożności ludowej. Wiele osób w pustelni łopacińskiej głęboko przeżywa swoje *sam na sam* z Panem Bogiem i Matką Bożą.

Na koniec warto wspomnieć o ciekawej inicjatywie duszpasterskiej w parafii Winnica w dekanacie nasielskim. *Nawet bolidy Formuły 1 muszą czasem zjechać do boksu* – zauważa ks. Zbigniew Paweł Maciejewski, który postanowił wybudować taką samotnię w swojej parafii. Przy wsparciu wielu ludzi z okolicy oraz z całej Polski udało się ten projekt zrealizować. Wśród lasów,

nieopodal wioski Rębkowo, stanął drewniany domek, bez wygod i elektryczności, z łóżkiem, stolikiem, przyborami do podstawowej toalety, lampą i egzemplarzem Pisma Świętego. Przy jego budowie zaangażowali się zwłaszcza członkowie wspólnoty Mężczyzn św. Józefa, działającej w winniczej parafii. W niedzielę poświęcenia każdy mógł wejść do tej współczesnej samotni i przekonać się, jak wygląda ukończony projekt. *Boże, daj wszystkim tu przebywającym*

Twoje prowadzenie i światło. Daj im swoją siłę i łaskę, daj odpoczynek i bezpieczeństwo – modlił się ks. proboszcz, poświęcając erem.

Wracając do naszej pustelni Łopacińskiej, można z satysfakcją stwierdzić, że pozostaje ona nadal żywym ogniskiem kultu maryjnego oraz działań kulturowych dla okolicznych mieszkańców oraz przyjezdnych. W 2019 roku odbył się tu koncert muzyki i poezji religijnej i patriotycznej. Z położonego przy kapliczce kopca patronuje wielki czciciel Matki Bożej św. Jan Paweł II. W każdą majową niedzielę o godz. 16.00 miejscowy proboszcz, ks. kanonik Ryszard Berk, sprawuje Eucharystię i odprawia Nabożeństwo Majowe. W uroczystość Wniebowzięcia Matki Bożej, 15 sierpnia, jest odprawiany Odpust. Od 42 lat kapliczką i jej otoczeniem opiekuje się bezinteresownie pani Joanna Głogowska, zapewne przy życzliwej pomocy innych mieszkańców parafii Łopacin. Składamy jej za to serdeczne podziękowanie. Pustelnia Łopacińska zaprasza. Wielu pielgrzymów doznaje tu szczególnych Łask Bożych.

Opracował

Ks. Ireneusz Wrzesiński

fot. ze zbiorów Autora

POMIĘDZY...

*I ja to słyszę, i ja tak wierzę,
Placzę i mówię pacierze.
„Słuchaj, dziewczeczko!” – krzyknie śród zgiełku
Starzec, i na lud zawoła:
„Ufajcie memu oku i szkiełku,
Nic tu nie widzę dokoła.
Duchy karczemnej tworem gawiedzi,
W głupstwa wywarzone kuźni.
Dziewczyna duby smalone bredzi,
A gmin rozumowi bluźni”.
„Dziewczyna czuje, – odpowiadam skromnie –
A gawieź wierzy głęboko:
Czucie i wiara silniej mówi do mnie,
Niż mędrca szkiełko i oko.
Martwe znasz prawdy, nieznanne dla ludu,
Widzisz świat w proszku, w każdej gwiazd iskierce.
Nie znasz prawd żywych, nie obaczysz cudu!
Miej serce i patrzaj w serce!”*

Adam Mickiewicz napisał ten manifest polskiego romantyzmu w zbiorze swych poezji „Ballady i Romanse”. Ale czy naprawdę nie uda się połączyć czucia i wiary z mędrca

szkiełkiem i okiem? Wydaje się, że udało się to w ostatnim czasie, budując nie symboliczny, ale całkiem realny most pomiędzy wzniosłym romantyzmem pełnym tajemnic i miłosnych uniesień, a pracowitym pozytywizmem Wołkulskiech, Judymów, Siłaczek, Świętochowskich. Stało się tak za sprawą położonej drogi rowerowej pomiędzy Muzeum Pozytywizmu w Gołotczyźnie a Muzeum Romantyzmu w Opinogórze. Spróbujmy razem przebyć tą trasę. A zatem:

Muzeum Pozytywizmu w Gołotczyźnie. Być może już sama nazwa miejscowości sugeruje, co można było tam znaleźć. *Gołotą* nazywano zubożałą szlachtę, a tej nie brakowało na ziemiach północnego Mazowsza, cechującego się licznymi zaściankami szlacheckimi, niezbyt zasobnymi materialnie, ale przecież *szlachcic na zagrodzie równy wojewodzie*, a i każda szabla w czasie sejmikowania liczyła się równym



Krzewnia – Muzeum Pozytywizmu w Gołotczyźnie



Kąty, pomnik Konwerskiego

głosem (nie wspominając skutków *liberum veto*, jakie mogło ono wywołać). Środowisko takie stało się w czasach zaborów ostoją polskości i wiary. To tu uczono patriotyzmu i chęci poświęcenia się - dla ojczyzny ratowania.

Władysław Bełza,
„Katechizm polskiego dziecka”

- Kto ty jesteś? – Polak mały.
- Jaki znak twój? – Orzeł biały.
- Gdzie ty mieszkasz? – Między swemi.
- W jakim kraju? – W polskiej ziemi.
- Czym ta ziemia? – Mą Ojczyzną.
- Czym zdobyta? – Krwią i bliźną.
- Czy ją kochasz? – Kocham szczerze.
- A w co wierzysz? – W Polskę wierzę.
- Coś ty dla niej? – Wdzięczne dziecię.
- Coś jej winien? – Oddać życie.

Zmiana pierwszej strofki dla dziewczątek:

- Kto ty jesteś? – Polka mała.
- Jaki znak twój? – Lilia biała.

Zapewne w dworku Aleksandry Bąkowskiej i domu Aleksandra Świętochowskiego tak właśnie się działo. Prawiono o Polsce, oddychało się tam polskością, a zawziętością

i uporem wobec przeciwności - godną Bogumiła Niechcica - starano się, by z warcholstwem oblepionej jak **błotem krepą Polski** utworzyć piękny nowy Sarbinów. Działo się to zapewne w rytm bicia starego zegara, stojącego w rogu pałacyku. Otóż pragnę wam powiedzieć, że ten zegar nie bije tylko ołtarzami przeszłości, ale wybija radosne kuranty nowej rzeczywistości gołotczyńskiego założenia parkowego. Gdy piszę ten tekst, nowe życie wstępuje w te omszałe mury. Jak nowe Ateny – mamy nową Gołotczynę – park ożył, stawy, aleje, ogrody, tętnie – tu powietrze ma inny smak. Dziękujemy i gratulujemy.

Mieliśmy jednak poruszać się rowerami – jakbyśmy słyszeli wołanie Barbary Niechcicowej – „Bogumił, no ja jestem jednak romantyczna!”. Ruszajmy zatem do Opinogóry, ku jej wzgórzom owianym tajemnicami romantycznych uniesień jak jedwabnym szalem mgieł. A że jestem już raczej gwałtownie starzejącym się człowiekiem, przygotowano dla mnie (a również zapewne dla rodzin z dziećmi) pięknie, w sposób naturalistyczny przygotowane miejsca odpoczynku. Drewniane wiaty z siedziskami, stanowiska dla rowerów, a nawet kosze na śmieci - wszak dbamy o piękno i czystość otoczenia.

Jadąc lasami leśnictwa Bardonki, wjeżdżamy do Ciechanowa i znowu – jaka piękna niespodzianka. Wita nas piękna, szeroka, oświetlona aleja. Szeregi ładnych domków wśród przydrożnych trawników – zaraz, kiedy to powstało na miejscu dziurawej, mrocznej szosy wołającej chyba donikąd? Jadę przez Ciechanów nawet całkiem przyjemnie, choć brakuje mi jakiejś małej infrastruktury, np. cichej kafejki z kawą czy lodami. Zbliżam się do Rynku. Podoba mi się jego obecny wygląd i szczerze mówiąc, nie rozumiem chęci zamienienia rynku miejskiego w miejski park (być może powodowane jest to sentymentem do nie tak dawnej pamięci



Kościół w Opinogórze

raczej socjalistycznego skwerku. No cóż, idąc tym tokiem myślenia, postawmy jeszcze ze dwie stodoły drewniane – bo kiedyś tu stały). A gdyby tak Stary Rynek np. w Krakowie w ten sposób potraktować – bo brakuje tam drzewek? Rynek jest sercem miasta, antyczną agorą, na której ma prawo przemawiać każdy obywatel. Pod drzewka – to na planty, chociażby w stronę pobliskiego zamku czy dolinę Łydyni. Tak przynajmniej uważam – podoba mi się nowy ciechanowski rynek z deptakiem na ul. Warszawskiej. Jest jakoś miejsko. No właśnie - mury zamku ciechanowskiego wznoszą się jak prastare świadectwo chwały książęco-królewskiej. Nie rezygnujmy i nie umniejszajmy jej małostkowymi wizjami i zachowaniami.

Wyjeżdżamy z Ciechanowa: mury jednostki, naszych ciechanowskich koszar – dobrze, że znów ożyły i że wrony nie są ich jedynymi mieszkańcami, jak przez parę lat nieszczęśliwie było. Wśród żyznych łąnów pojawiają się zabudowania Kątów z pomnikiem, upamiętniającym



Zameczek Zygmunta Krasieńskiego



Domek Ogrodnika

męczeńską śmierć w imię honoru i człowieczeństwa mieszkańca wsi, Romana Konwerskiego. - „Braci swoich wieszać nie będę” – odmawiając w ten sposób wykonania rozkazu niemieckich okupantów, sam zginął - najpierw żyjąc w piekle obozu koncentracyjnego. Z zadumą można odpocząć tutaj w specjalnie przygotowanej wiacie i pomyśleć – „Święta miłości kochanej Ojczyzny, czują Cię tylko umysły poczciwe! Dla ciebie zjadłe smakują trucizny, dla ciebie więzy, pęta nie zelżywe. Kształcisz kalectwo przez chwalebne blizny, gnieździsz w umyśle rozkoszy prawdziwe. Byle cię można wspomóc, byle wspierać, nie żał żyć w nędzy, nie żał i umierać.”

Czas gnać dalej – już widać wzgórze Opinogóry. Wśród koron drzew parkowych dwie wieże (zameczku i sygnaturka kościoła) nastroją pewną wzniosłością i dostojeństwem. Nie wiem, czy zmęczenie i widok ten każe mi zwolnić? Pójdę pokłonić się Matce Bożej w kościele, wyłaniającym się zza drzew białą kolumn niczym greckiej świątynki w Efezie - Wielkiej Bożej Rodzicielki, Matki Boga i Człowieka w Jezusie Chrystusie. Może stojąc nad grobowcem Zygmunta Krasińskiego słowami jego Hymnu:

*Królowo polska! Królowo aniołów!
Ty, coś na świecie przeboleła tyle,
Gdy Syn Twój zstąpił do ziemskich padolów;
Skróć umęczonej Polsce Twej mąk chwile!
Królowo polska! Królowo aniołów,*

*Roztocz ponad nią tarczę Twej opieki,
Odwiąż jej ręce od katowskich kołów,
Bądź jej aniołem teraz i na wieki!*

*Królowo polska! Królowo aniołów!
Lecz wiesz zarówno jakim blaskiem płonie
Ukrzyżowany, wniebowzięt po zgonie,
Nie daj nas sieciom piekielnym na połów!
Nieśmiertelnymi na śmierć zbrojną leki,
Wykaż znów śmierci na nas, że jest niczem,
Wskrzęs nas, o Pani! przed świata obliczem.
Bądź nam aniołem teraz i na wieki!*

*Królowo polska! Królowo aniołów!
Ten świat się rozpadł i rozdziera siebie,
Lecz żadna z jego rozerwanych połów,
Już się nie modli, o Maryo! do Ciebie,
My jedni tylko, paląc się na stosie,
Wciąż ślemy modły w Twój bezmiar daleki;
Poznasz Królowo, poddanych po głosie,
Bądź nam aniołem teraz i na wieki!*

*Królowo Polski! Królowo aniołów!
Lilio bez zmaży, Ty Gwiazdo poranna,
Mieczem boleści siedmiokrotnie ranna,
Wiesz, co rozpaczy wrzającej w sercu olów.
Co krzyż i gwoździe i rany i ciemnie,
Wiesz, co krwi ziemskiej i łez ziemskich cieki
I jak konania ból boli niezmiernie:
Bądź nam Królową teraz i na wieki!*

Dobrze, po pokrzepieniu ducha czas na ciało. To znaczy, czas coś zjeść – najlepiej u gościnnego ogrodnika. Dobrze jest usiąść nad stawem, przy kawiarnianym stoliku, patrzeć w dal parku i stawów. Cisza i spokój – nawet o wojnie ani podwyżkach nikt nie mówi – dobrze. Małe dolce vita.

Czas przejść alejami zamkowymi: przy szklanych ścianach oranżerii zejść do amfiteatru, wspiąć się ku pałacowi Krasińskich, zrobić fotografię z wieszczem, zobaczyć oficynę, zameczek i folwarczną ptaszarnię - tyle tego, a co w środku - w budynkach, podpowiem tylko - sztuka mistrzów, zresztą - sam zobacz.

*Tekst
Ks. Jarosław Arbat*

fot. T. Czerwiński

CIECHANOWSCY SENIORZY WSPOMINAJĄ...



- Mam bardzo dobrą pamięć, ale wciąż ją ćwiczę, dużo piszę i systematycznie rozwiązuję krzyżówki – mówi pan Andrzej Piotrowski, społecznik, laureat Nagrody im. dr. Fran-

ciszka Rajkowskiego TMZC za rok 2015.

Urodziłem się 10 września 1938 roku w Ciechanowie, w Cukrowni Ciechanów (jak zapisano w metryce urodzenia), oczywiście było to na Osadzie Fabrycznej. Ojciec mojej matki, Szczepan Borucki, był stałym pracownikiem Cukrowni Ciechanów, komendantem straży przemysłowej, zajmującej się ochroną majątku fabrycznego i tym, żeby cukier nie wychodził z fabryki w sposób niekontrolowany. Z racji swojej funkcji dziadek miał prawo do fabrycznego mieszkania w budynku należącym do cukrowni, a także do piwnicy, działki, dwóch krów trzymanyh w fabrycznej oborze oraz do ich wypasania na przyległych łąkach. Otrzymywał także po kampanii buraczanej wysłodka jako paszę dla bydła. Liczna rodzina moich dziadków (mieli 8 dzieci) mogła się utrzymać dzięki Cukrowni.

W mieszkaniu dziadków Boruckich przyszedłem na świat. Rodzice zawarli związek małżeński we wrześniu 1935 roku. Nie mogli się przenieść do domku dziadka Piotrowskiego na ulicę Kozią, bo tam też była liczna rodzina. Dziadek Piotrowski był pracownikiem Kolei Nadwiślańskiej, która zarządzała terenami w pobliżu dworca kolejowego. Stali pracownicy kolei mogli otrzymać działkę około 1000 m²

i na niej się pobudować, urządzić ogródek warzywny czy kwiatowy. Większość mieszkańców hodowała kozy, mało wymagające zwierzęta dające dobre mleko, stąd prawdopodobnie wzięła się nazwa ulicy.

W latach 1936-1937 moi rodzice zaczęli budować dom na ulicy Zagumiennej (dziś Witosa) – ten, w którym mieszkam do dziś. Tego czasu rzecz jasna nie pamiętam. Ojciec pracował w Rejonowej Komendzie Uzupelnień, był absolwentem gimnazjum i Szkoły Wojsk Łączności w Zegrzu. Gdy wybuchła wojna, wyrzucono nas z domu, który zajęła pani Winnicka, żona jednego z oficerów 11 Pułku Ułanów Legionowych. Miała dziadka Niemca i podpisała volkslistę po wejściu Niemców do Ciechanowa (lista osób pochodzenia niemieckiego, dająca znaczne przywileje). Winnicka zajęła nie tylko nasz dom, ale i przyległy, należący do rodziny Roszków, przebijając ścianę dzielącą te dwa domy. W ten sposób powstała obszerna, ładna rezydencja, w której Winnicka urządziła się z trójką swoich dzieci (nie wiem, jakie były losy wojenne jej męża).

Po wyrzuceniu z Zagumiennej zaczęliśmy mieszkać w Pęczcinie u pana Ogłędzkiego. Tam poznaliśmy rodzinę państwa Sosnowskich, których Niemcy wyrzucili z ich pięknego, dużego gospodarstwa w Kargoszynie (ok. 30 ha, mury dom i budynki gospodarskie). Gospodarz Sosnowski został aresztowany, wtrącony do więzienia, z którego wrócił schorowany, z zaważoną gruźlicą – wkrótce zmarł. Po wojnie, gdy już podrosłem, u państwa Sosnowskich w Kargoszynie spędzałem każde wakacje, pomagając w pracach polowych. Miałem tam dobre koleżeństwo, bo Sosnowscy mieli trzech



Mały Andrzejek w pierwszym roku życia

córki, a najstarsza Zosia chodziła później ze mną do szkoły podstawowej i liceum, razem zdawaliśmy maturę. Wiem, że mieszka w Koszalinie, ale nie kontaktuje się z nami, chociaż wielokrotnie była zapraszana na zjazdy absolwentów Krasiniaka i na inne spotkania.

Do naszego domu na ulicy Zagumiennej wróciliśmy dopiero po 4 latach, w lutym 1945 roku, po wejściu Rosjan do Ciechanowa. Dom był uszkodzony, prawdopodobnie trafiły w niego pociski moździerzowe, zarwany sufit w jednym pokoju leżał na podłodze, a nad wejściem do drugiego był urwany gzyms. Być może te zniszczenia spowodował jakiś zabłąkany pocisk, gdy żołnierze nacierali od wschodu, być



Z rodzicami, bratem, ciocią Reginą i jej córeczką Marysią przed naszym domem na ul. Zagumiennej, ok. 1947 r.

synów i dwie córki, najwięcej czasu spędzałem z Sylwkiem, trochę ode mnie starszym. Z pobytu w Pęczcinie pamiętam jeszcze rodzinę mieszkającą w sąsiedztwie – państwa Bartołów, którzy mieli trzy

może celem był budynek starostwa (obecnie komenda policji). Ojciec zabezpieczył jako dom, z którego wszystko zostało rozkradzione, na strychu ocalał jedynie stary obraz ze Świętą Rodziną i Janem Chrzcicielem – do dziś wisi w naszym domu. Ten obraz podziwiał zawsze ks. Prałat Kokosiński, gdy przychodził do nas z wizytą kolędową.

Zanim poszedłem do szkoły, przez trzy miesiące chodziłem do przedszkola na ulicy Augustiańskiej, pierwszej takiej placówki w Ciechanowie po wojnie. We wrześniu 1945 roku trafiłem do pierwszej klasy, do szkoły na ulicy Orylskiej. W tym dużym budynku mieściły się trzy szkoły podstawowe, każda miała swojego dyrektora. Ja zostałem uczniem SP nr 1, która mieściła się na parterze. Dopiero w późniejszych latach wyprowadziły się SP nr 2 (na ulicę Wojska Polskiego) i SP nr 3 (przekształcona w Szkołę Ćwiczeń). Dyrektorem SP nr 1 po tych zmianach został Stefan Bukowiński. Moją pierwszą nauczycielką i wychowawczynią w podstawówce była pani Zofia Turowska (z domu Wojtczak), sympatia mojego ojca z gimnazjum. Każdego 15 maja wędrowałem do niej z bukietem pięknego perskiego bzu, wręczanym jej w imieniu taty z okazji imienin.

Z czasów wojny, gdy budynek szkoły na Orylskiej został zamieniony przez Niemców w lazaret dla rannych żołnierzy, pozostał budynek – drewniany barak w miejscu dzisiejszej hali sportowej. Ten budynek wykorzystywany był jako obiekt pomocniczy, administracyjny. Przechowywano w nim stoły, ławki, był także warsztat. Obok kotłowni, w budynku głównym mieszkała woźna – pani Helena, która miała małe mieszkanko w suterenie. Od strony boiska w baraku mieszkali państwo Dunikowscy, osoby także pracujące w szkole. W małej salce mieściła się harcówka, w której zaczynałem swoją przygodę z harcerstwem. Byłem za młody

na harcerza, więc zostałem zuchem w zastępie „Wilczki” – w klapie nosiliśmy mosiężny znaczek wilczej mordki.

Później, gdy już podrosłem, harcerstwo zaczęło wzorować się na radzieckim pionierstwie, więc rodzice powiedzieli: „Na co ci to?”. Pomyślałem, że skoro nie muszę, to zrobię sobie przerwę – i zrobiłem ją na długie lata. Z dzieciństwa spędzonego w szkole podstawowej nie mam jakichś szczególnych wspomnień oprócz jednego, traumatycznego przeżycia. We wrześniu 1950 roku, trzy tygodnie po rozpoczęciu roku szkolnego, zachorowałem ciężko na szkarlatynę. Zabrano mnie do szpitala z bardzo wysoką gorączką. W tym czasie zmarł nagle mój ojciec, w wieku zaledwie 44 lat. Przyczyną śmierci było pęknięcie tętniaka aorty płucnej. O tej śmierci dowiedziałem się dopiero po powrocie ze szpitala. Nie mówiono mi tego wcześniej, obawiając się komplikacji zdrowotnych. Dorozką, którą przywieziono mnie ze szpitala, zabrano do szpitala mojego młodszego brata. Później trafiła tam matka.

Wrzesień i październik 1950 roku były dla nas straszne, zostaliśmy sami bez ojca. Miałem 12 lat, a brat 7. Tata pracował przed śmiercią w starostwie powiatowym, w referacie spraw wojskowych, utrzymywał całą rodzinę. Sytuacja bardzo się pogorszyła, gdy go zabrakło. Pomagała nam wtedy starsza siostra mamy, ciocia Marysia, która pracowała w rzeźni na ulicy Płońskiej i zajmowała się badaniem mięsa z uboju. Miała możliwość odkupywania prób po zbadaniu, za symboliczne pieniądze. Podrzucała nam mięso, po prostu nas żywiła i utrzymywała. W rzeźni pracowali wówczas lekarze weterynarii Kamiński i Szczeciński, dobrzy, życzliwi ludzie, atmosfera była tam miła.

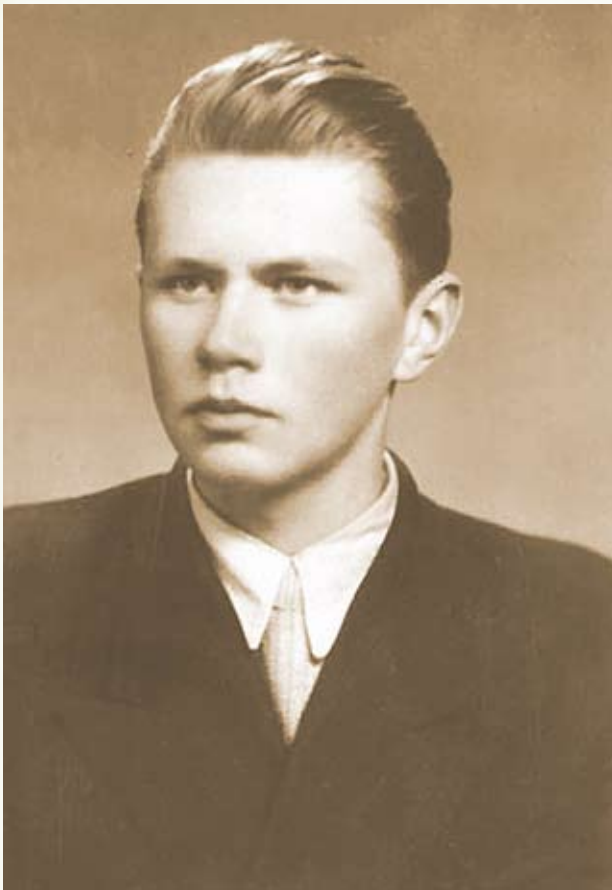
Młodsza siostra mamy, Regina, mieszkała naprzeciwko rzeźni, była żona Edmunda Janiszewskiego, wieloletniego dyrektora Kolumny Transportu Sanitarnego. Ciocia Marysia wyszła



Moja mama Jadwiga Borucka – lata powojenne



Z tatą i młodszym bratem Wojtkiem (dziś już nieżyjącym) – krótko przed śmiercią taty



Maturzysta 1956 rok



W czasie nauki w szkole w Radomiu



W uniformie pilota – koniec 1957 roku



Ślub z Marianną Jadwigą, wrzesień 1962

za Kazimierza Kurpińskiego, który przed wojną był sekretarzem gminy Zalesie z siedzibą w Krasnem. Został aresztowany przez Niemców, trafił do obozu zagłady w Mauthausen-Gusen, gdzie został zamordowany. Przysłano później komunikat, że zmarł w 1941 roku na zapalenie płuc. Ciocię los ciężko doświadczał: przeżyła przed wojną śmierć 6-letniego synka (zmarł na dyfteryt), a po wojnie śmierć 20-letniej córki, która zmarła z niedożywienia na gruźlicę. Z jej dzieci przeżył tylko jeden syn, który dożył 97 lat. U niego w Warszawie ciocia mieszkała po śmierci swojego drugiego męża. Dożyła 92 lat. Jest pochowana na cmentarzu komunalnym w Ciechanowie razem z drugim mężem.

We wrześniu 1952 roku zaczynałem naukę w Liceum Ogólnokształcącym 4 (czwórka nie była numerem szkoły, oznaczała, ile lat trwa nauka). Szkoła mieściła się w budynkach przy ulicy Małgorzackiej i Kopernika, wcześniej siedzibą był budynek przy ulicy Powstańców Warszawskich (dziś jest tam szkoła podstawowa), będący w czasie okupacji jedną z rezydencji Ericha Kocha. Dyrektorem ogólniaka był Jerzy Łyziński, a jego zastępcą Edward Komorowski. W tym roku mija 70 lat od rozpoczęcia przeze mnie nauki w Krasiniaku. Maturę zdałem w czerwcu 1956 roku, w pierwszym terminie. Wcześniej uległem sugestiom „werbowników” z Rejonowej Komendy Uzupełnień, żeby zgłosić się do wojsk lotniczych. Moje zainteresowanie lotnictwem to pokłosie bliskiej współpracy (jeszcze w czasach szkoły podstawowej) z nauczycielem Tadeuszem Szczepankowskim, który uczył rysunku i prowadził modelarnię, a przez ostatnie dwa lata nauki był moim wychowawcą.

Dziesiątego czerwca 1956 roku dostałem świadectwo maturalne. Pierwsza rejestracja wojskowa odbyła się bodajże w kwietniu, dostałem kategorię A. Następnym etapem było badanie lekarskie w szpitalu na ulicy

Nowowiejskiej w Warszawie. W lipcu miałem kolejne badanie połączone z testem sprawnościowym i egzaminem wstępnym na Okęciu w Warszawie. Podzielono nas w wyniku tych badań i sprawdzianów na dwie grupy: jedna miała trafić do Szkoły Lotniczej w Radomiu (gdzie szkolono pilotów samolotów myśliwskich na potrzeby wojsk lądowych i marynarki wojennej), druga do szkoły w Dęblinie (piloci samolotów szturmowych, bombowych i nawigatorzy). Mnie zakwalifikowano do Radomia, gdzie przeszedłem kolejne badanie, czwarty etap selekcji. Zgodnie z otrzymaną kartą powołania zgłosiłem się 24 września 1956 roku do Szkoły Lotniczej w Radomiu na Sadkowie. Początek był podobny jak w zasadniczej służbie wojskowej, rzeczy cywilne odesłano do naszych domów, ubrano nas w mundury, głowy ogolono i zaczęło się szkolenie ogólne, tzw. unitarka, czyli regulaminy, musztra, strzelanie, alarmy, sprawdziany itp. Było nas w Radomiu 253 chłopaków, do Dęblina przyjęto 200 osób. Powiedziano nam, że jesteśmy elitą polskiej młodzieży, bo chętnych było ponad 7000, spośród których wybrano łącznie 453 osoby.

Po szkoleniu wojskowym (jeszcze przed przysięgą) byliśmy kandydatami na podchorążych, pobraliśmy pistolety maszynowe PM-43 (które wisały na naszych łóżkach), w kącie sali stały metalowe skrzynie z amunicją. Byliśmy w stanie ciągłego alarmu bojowego z uwagi na wydarzenie w kraju (Październik '56). To się rozładowało, gdy ministrem obrony narodowej został marszałek Marian Spychalski, traktowany wówczas jako pierwszy polski marszałek, polski oficer (po Rokossowskim). Dowódcą wojsk lotniczych został generał pilot Jan Frey-Bielecki (zastąpił Połynina). W połowie grudnia, po złożeniu przysięgi, otrzymaliśmy tytuł podchorążego, pierwszy pasek na rękawie, mundury, płaszcze. Decyzją ministra Spychalskiego dostaliśmy urlopy świąteczne, co było



Zjazdy absolwentów Krasiniaka, które od lat współorganizowałem – tu z grupą koleżeńską przed klasztorkiem, 1996 r.



Z kolegami z liceum – Tadeuszem Brachem i Kazimierzem Nawrockim, zjazd 2006 r. (50-lecie matury)

do tej pory rzeczą niespotykaną. Rozjechaliśmy się do domów przed Wigilią, a wróciliśmy po Nowym Roku.

W styczniu 1957 roku rozpoczęliśmy szkolenie teoretyczne na samolocie Junak 3, polskiej konstrukcji inż. Sołtyka (Dęblin szkolił się na Jakach 18 konstrukcji radzieckiej). W kwietniu nadszedł czas egzaminów, trzeba było zaliczyć co najmniej na czwórkę, wówczas było nas już tylko ok. 120, wykruszyli się z różnych powodów (w Dęblinie z 200 osób zostało poniżej 100). Po zdanym egzaminie przeniesiono nas na lotnisko w Białej Podlaskiej, tam stawiałem swoje pierwsze kroki w powietrzu w eskadrze kapitana Miłosza. Samolotów do odbywania lotów szkoleniowych było raptem

kilkanaście, więc przy naszej grupie na osobę wypadało 20-30 minut dziennie nalotu (tyle maksymalnie udawało się zrobić). W połowie lipca zwolniło się lotnisko w Podludowie pod Dęblinem (Dębliniacy ćwiczyli na lotnisku w Ułężu) i tam się znalazłem, trafiłem do eskadry Stanisława Piekary, mającego opinię ryzykanta. We wrześniu 1957 roku dokończyłem szkolenie podstawowe – 53 godziny nalotów, w tym 26 godzin lotów samodzielnych

Wróciliśmy do Radomia. Dostaliśmy miesiąc urlopu, a w listopadzie zaczęło się kolejne szkolenie teoretyczne. Odbywało się na samolocie szkolno-treningowym JAK-11 rosyjskiej konstrukcji inż. Jakowlewa, określanym przez nas jako „jedenastka”. Praktyczne szkolenie na tym typie samolotu odbywało się na lotnisku w Przasnyszu późną wiosną 1958 roku. Tu się zaczął mój problem - prawdopodobnie z błędniakiem, miałem w czasie lotu zakłócenia, których nie odczuwałem, ale obserwowałem je i zauważał instruktor. Już w czasie badania w Radomiu, ostatniego przed rozpoczęciem nauki, lekarz miał pewne uwagi odnośnie do uspokajania mojego wzroku po próbach na fotelu obrotowym w symulatorze lotów. Skierowano mnie na ponowne badania w szpitalu na Nowowiejskiej, kolejno dwóch laryngologów stwierdziło, że „nie nadaję się do lotów w samolotach z zakrytą kabiną, w warunkach nocnych i trudnych warunkach atmosferycznych”. Dla przyszłego pilota bojowego oznaczało to wyrok śmierci. Pilot dobrej pogody nie był potrzebny, wtedy polskie lotnictwo było jednym z najsilniejszych w Europie, miało 2200 samolotów wszystkich typów, potrzebni byli do ich obsługi sprawni piloci. Wróciłem do cywila.

Rozpocząłem pierwszą pracę, w Wydziale Finansowym Prezydium Powiatowej Rady Narodowej jako referent podatków miejskich u dyrektora Tadeusza Niedzielskiego (zaczynałem od stanowiska stażysty praktykanta, zdałem

egzaminu na Filtrowej w Warszawie i mogłem awansować na referenta, a później starszego referenta). W 1962 roku, 29 września zawarłem związek małżeński z Marianną Jadwigą Chmieleńską, pochodzącą ze wsi Mieszki Wielkie. Mimo obowiązków rodzinnych i zawodowych udało mi się w 1965 roku ukończyć studia na Wydziale Prawa i Administracji Uniwersytetu Warszawskiego, specjalnie stworzone dla administracji państwowej. Zmieniłem także pracę, przeszedłem do Ciechanowskiego Przedsiębiorstwa Budowlanego, do działu kontroli wewnętrznej. Żartuję, że do tej pracy „umotał” mnie dyrektor Stanisław Motała z CPB. Firma zajmowała się budownictwem, m.in. budynków mieszkalnych, biur, warsztatów, garaży, baz POM-ów nie tylko w Ciechanowie, ale także w Płońsku, Pułtusk, Nowym Mieście. Zespół Szkół na ulicy Orylskiej w Ciechanowie czy osiedle mieszkaniowe w Pułtusk to tylko niektóre budowy zrealizowane przez CPB.

W 1969 roku zachęcony zostałem do udziału w wyborach do Miejskiej Rady Narodowej w Ciechanowie. Zostałem radnym i objąłem funkcję zastępcy przewodniczącego MRN (przewodniczącym był Kazimierz Chrostowski). Zakres moich biurowych obowiązków można porównać do funkcji obecnych zastępców prezydenta. W MRN pracowałem do stycznia 1972 roku. Dostałem wtedy kolejną propozycję zmiany pracy – objęcia stanowiska dyrektora Rejonowego Oddziału Przedsiębiorstwa Upowszechniania Prasy i Książki „Ruch” w Ciechanowie (po śmierci dyr. Balickiego). Po spotkaniu z dyrektorem warszawskiego przedsiębiorstwa „Ruch”, któremu oddział w Ciechanowie podlegał, podjąłem nowe obowiązki. „Ruch” był wówczas znaczącą firmą, podlegało mi 800 osób (uwzględniając agentów kiosków).

Okres pracy po 1975 roku wspominam źle, naczelnicy gmin w nowym województwie



W poczcie sztandarowym Światowego Związku Żołnierzy AK Obwód Ciechanów – uroczystość patriotyczna na cmentarzu komunalnym, 1.09.2008 r.



Podziękowania od Adama Struzika, Marszałka Woj. Mazowieckiego po uroczystości odsłonięcia obelisku przy ul. Armii Krajowej, wrzesień 2009 r.



*Obelisk poświęcony ciechanowianom
– żołnierzom Wojska Polskiego i Armii Krajowej
(w dniu odsłonięcia)*

zachowywali się często gorzej niż sekretarze PZPR. Ciągłe naciski, sprawy w terenie, zakrapiane okazje 2–3 razy w tygodniu – o mało nie przypląciłem tego zdrowiem. Latem 1980 roku NSZZ „Solidarność” doprowadził do odwołania mojego zastępcy. Przyszedł stan wojenny, zaczął się trudny czas. Miałem problemy zdrowotne, duszności, z trudem wchodziłem na schody. Zostałem wysłany przez doktor Tłuchowską, kardiologa, na miesiąc do Dusznik. Miałem propozycję pozostania tam na kolejny miesiąc, ale z uwagi na sprawy rodzinne wróciłem do domu. Złożyłem rezygnację z zajmowanego stanowiska i odszedłem z pracy po ponad dekadzie związku z „Ruchem”.

Dostałem pracę głównego ekonomisty w firmie PONAR-REMO u dyrektora Włodzimierza Kuczalskiego. Niestety, nie było to miejsce dla osób takich jak ja, trafiłem z deszczu pod rywnę, bo tu także zakrapiane okazje były niemal codziennością. Odszedłem w 1985 roku na zasadzie przeniesienia, dzięki mojemu przyjacielowi z podstawówki i liceum, Andrzejowi Fronczakowi (ówczesny sekretarz PZPR), który zaproponował mnie do działającej pod egidą

NIK-u Inspekcji Robotniczo–Chłopskiej. Organizowałem kontrole i ich zakres dla współpracujących instytucji kontrolnych (m.in. PIP, PIH, Sanepid), zbierałem materiały pokontrolne, przygotowywałem zbiorcze informacje. Trwało to do zakończenia stanu wojennego, ale mój związek z NIK trwał jeszcze długo. Delegatura warszawska była nieproporcjonalnie obciążona w porównaniu z innymi, które obejmowały dużo mniejsze terytorium. W tej sytuacji odgórnie przekazano oddział w Ciechanowie do delegatury olsztyńskiej. Dostaliśmy propozycje nie do odrzucenia – albo odchodzimy z NIK-u, albo idziemy do Olsztyna. Zgodziliśmy się na drugą opcję. Na początku zdałem wymagane egzaminy, początkowo dostałem angaż na rok, potem stopniowo mianowano mnie głównym specjalistą.

Po reformie administracyjnej od 1 stycznia 1999 roku teren nadzorowany przez delegaturę NIK w Olsztynie sięgał od Elbląga do Gołdapi, najbliższej Ciechanowa było Iłowo. Wytrzymałem tę sytuację aż do 30 czerwca 2002 roku, kiedy skończyłem pracę. Od 20 lat jestem już na emeryturze.

W 2003 roku zwrócił się do mnie Prezes Światowego Związku Żołnierzy AK Obwód Ciechanów – Zygmunt Blankiewicz – z propozycją objęcia funkcji sekretarza Obwodu. Zgodziłem się na tę współpracę, choć z racji oczywistych nie byłem członkiem Związku – w czasie wojny miałem kilka lat. Dowiedziałem się od pana Blankiewicza, że członkiem AK był mój ojciec. Nic o tym nie wiedziałem, nikt o tym w rodzinie nie mówił, ale podobno ojciec działał w konspiracji. W Oddziale współpracowałem m.in. z Bonawenturą Morawskim, Janem Korzybskim, Zdzisławem Gołaszewskim z Gołymina i innymi. Najważniejszą sprawą, którą udało nam się załatwić, było upamiętnienie i uhonorowanie ciechanowian - żołnierzy Wojska Polskiego i Armii Krajowej, poległych

za Ojczyznę. Powstało miejsce pamięci w ciągu ulicy Armii Krajowej, w pobliżu skrzyżowania z ulicami Sikorskiego i Batalionów Chłopskich. Dużo zdrowia i czasu kosztowało mnie m.in. zdobycie odpowiedniego kamienia, jego obrobienie do postawienia na postumencie, przetransportowanie. Wiele pracy włożył też Marek Zalewski – artysta rzeźbiarz, odlew orła i znaku Polski Walczącej to jego dzieło. Do dziś przetrzymuję szarfę z wiązanek od Prezydenta RP Bronisława Komorowskiego, złożonej przez jego wysłanniczkę na uroczystości odsłonięcia tego obelisku, przy którym dziś przejeżdżają i przechodzą setki ludzi.

Później atmosfera w Oddziale zaczęła się psuć, pojawiły się sugestie, że rzekomo chcę zastąpić prezesa Blankiewicza. Pocztą dostałem zawiadomienie, że z powodu utraty zaufania przez Zarząd w stosunku do mojej osoby zostaję skreślony z listy członków Związku (wcześniej przyznano mi członkostwo honorowe). Przyjąłem to ze zrozumieniem. Nie chcę do tego już nawet wracać. Nie zniechęciłem się do pracy społecznej i gdy przy TMZC powstał Społeczny Komitet Wsparcia Rewitalizacji Zamku, właściwie sam w nim działałem, w obronie pomysłu rewitalizacji naszego zabytku wg projektu opracowanego przez zespół architektów z Gdyni, z dr. inż. Markiem Kleczkowskim na czele. Na realizację tego projektu Marszałek Województwa przyznał wówczas Muzeum Szlachty Mazowieckiej 15 mln zł. Zaczęła się wtedy awantura, włączyli się politycy i sprawa upadła, niestety. Nadal uważam, że stracono szansę takiej rewitalizacji, która z Zamku Książąt Mazowieckich mogła stworzyć atrakcję przyciągającą do miasta turystów, tak jak to się dzieje m.in. w zrewitalizowanych zamkach krzyżackich.

Na marginesie wspomnę, że w czasach województwa ciechanowskiego ówczesny wojewoda Jerzy Wierzchowski zaprosił profesora Wiktora



*Moja pasja – żeglarstwo
(z Włodzimierzem Jarzyńskim na jachcie, 2005 r.)*

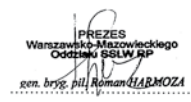
Warszawa, dnia 15 sierpnia 2012 roku

POŚWIADCZENIE

Niniejszym poświadczam, że ANDRZEJ PIOTROWSKI S. STANISŁAWA ur. 10 września 1938 r., PESEL 38091002898, jako uczeń – podchorąży OFICERSKIEJ SZKOŁY LOTNICZEJ IM. ŻWIRKI I WIGURY W RADOMIU, w latach 1957 – 1958 r. odbywał szkolenie w zakresie pilotażu podstawowego i przejściowego na samolotach: JUNAK-3B i JAK-11, w trakcie którego wykonał:

- na samolocie JUNAK-3B: lotów ogółem ok. 270 w czasie ok. 54 godz. 30 min.
w tym samodzielnych ok. 135 w czasie ok. 26 godz. 45 min.
- na samolocie JAK-11: lotów ogółem ok. 50 w czasie ok. 6 godz. 30 min.

Niniejsze wydałem na prośbę w/wymienionego.


 PREZES
 Warszawsko-Mazowieckiego
 Oddziału SSLW RP
 gen. bryg. pil. Roman HARMOZA
 ROMAN HARMOZA
 General brygady w st. spocz. pilot kl. M

Wykonano w 3 egzemplarzach
 2 egz. dla zainteresowanego
 1 egz. a/a R. Harmoza

*Poświadczenie szkolenia w zakresie pilotażu
– dowód mojej krótkiej przygody z lotnictwem*

Zina – wybitnego znawcę zabytków. Jako członek Mazowieckiej Komisji Kultury brałem udział w spotkaniu u wojewody w sprawie rewitalizacji Zamku. Profesor Zin powiedział wówczas, że bez względu na to, w jakim stylu odbuduje się obiekt, za 50 czy 100 lat ta nowa substancja będzie zabytkowa. Myślę, że znany ze skuteczności działania wojewoda Wierzchowski dążyłby do odbudowy, skoro przeprowadzał



*Wręczenie Nagrody im. dr F. Rajkowskiego
za rok 2015 – z Prezesem TMZC Eugeniuszem Sadowskim*

konsultacje z takim autorytetem, jak profesor Zin. Mam już jedynie płonną nadzieję na dalsze działania rewitalizacyjne, być może w oparciu o nowy projekt.

Na emeryturze dużo piszę, przygotowałem i wydałem własnym sumptem obszerne opracowania, m.in. „Ciechanowskie początki średniego szkolnictwa ogólnokształcącego”, „Uczniowie i uczennice Liceum Ogólnokształcącego LO4 w Ciechanowie 1952-1956”, „Krótka historia garnizonu lotniczego w Przasnyszu 1945-1963”. Moje prace są dostępne w czytelni regionalnej Powiatowej Biblioteki Publicznej. Aktualnie przygotowuję „Krótką historię lotniska w Sokółówku”, do czego mobilizuje mnie Maria Klonowska – prezes Stowarzyszenia „Sokółówek”. Występuję też z prelekcjami, m.in. w Muzeum Szlachty Mazowieckiej. Ponadto od 2008 roku jestem aktywnym członkiem ciechanowskiego koła Związku Żołnierzy Wojska Polskiego. Od 1996 roku posiadam patent żeglarza jachtowego i od tego czasu opłynąłem jeziora warmińskie i mazurskie, począwszy od Karwicy na południu do Węgorzewa na północy i od Piza na wschodzie do Rynu na zachodzie

(przez Ruciane, Miłkołajki i Giżycko).

Absorbują mnie także sprawy rodzinne. Na co dzień w naszym domu przy ulicy Witosa mieszkam tylko z małżonką. Najstarszy syn Marek mieszka na ulicy Żytniej wraz ze swoją rodziną. Córka Ewa Maria mieszka w Koszalinie od 30 lat, pochodzi stamtąd jej mąż, którego poznała w cza-

sie studiów ekonomicznych w Sopocie. Nasz najmłodszy syn Marcin, który urodził się 6 lat po Ewie, także mieszka w Ciechanowie, ale pracuje głównie w Warszawie, Krakowie, Łodzi, zajmując się montażem, konserwacją i naprawą urządzeń klimatyzacyjnych. Najstarszy wnuk, syn córki, ma 30 lat, skończył psychologię na UAM w Poznaniu. Drugi wnuk, także trzydziestolatek, od syna Marka, jest już żonaty i ma córeczkę, naszą pierwszą prawnuczkę 2,5 letnią Irenkę. Drugą prawnuczką jest 2-letnia Hania, córeczka Aleksandry, córki Marka, pracującej jako farmaceutka w Pułtusku. Najmłodszą naszą wnuczką jest Julka, córka Marcina, 23-letnia studentka pedagogiki specjalnej. W sumie jest nas już osiemnaścioro, gdy uda nam się wszystkim spotkać jednocześnie.

W najbliższym czasie będą dwie takie okazje, wesele najstarszego wnuka i 60-lecie mojego małżeństwa. Na emeryturze nie narzekam na nudę, sprawy społeczne i rodzinne nie pozostawiają mi zbyt dużo wolnego czasu, ale dają wiele satysfakcji.

Opracowanie: Ewa Gładysz
Zdjęcia ze zbiorów rodzinnych bohatera wspomnień

OD MLEKA DO SERA I MASŁA

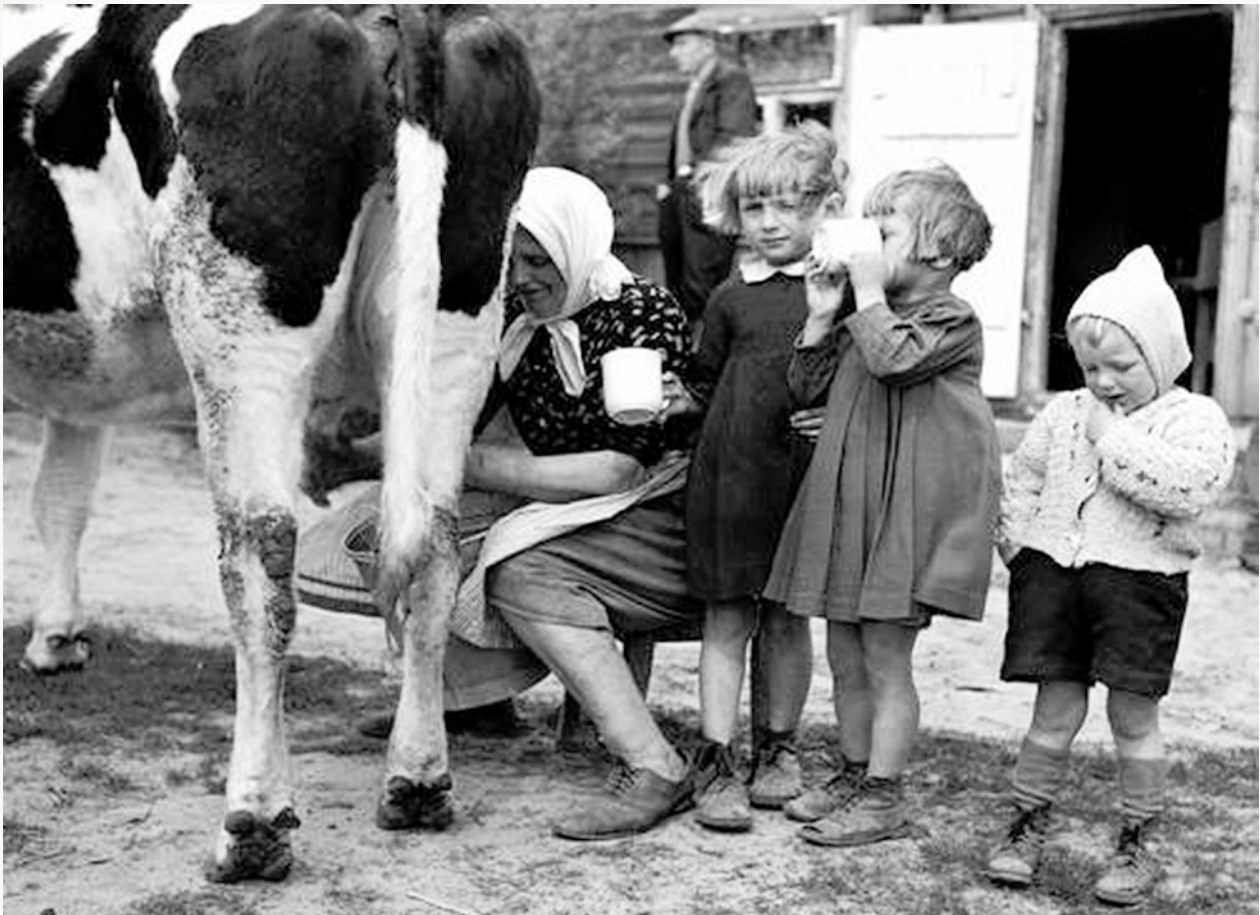
Od niepamiętnych czasów niezwykle ważnym składnikiem pożywienia ludności wiejskiej i mieszkańców miast było mleko krowie i jego przetwory. Najbiedniejszy nawet gospodarz starał się mieć w swoim gospodarstwie krowę, a bezrolny chałupnik i komornik przynajmniej kozę, których mleko skutecznie odganiało widmo głodu w ubogich rodzinach posiadających małe dzieci. Przysłowia dobrze znane mieszkańcom wsi z gminy Opinogóra i Ciechanów mówią: *Dobra krowa, majątku połowa; Dobra krowa, chłopu dzieci chowa.*

Krowy i w ogóle bydło stanowiło niegdyś wielki skarb każdego rolnika, zarówno tego, który gospodarował na wielkim folwarku, jak

i uprawiającego jedynie kilka morgów ziemi. Bydło dostarczało obornika niezbędnego do nawożenia pól (nie znano wszak nawozów sztucznych), dostarczało siły pociągowej w uprawie roli i transporcie, a także skór, mięsa i wreszcie mleka. Siłą pociągową w gospodarstwach wiejskich, chłopskich, folwarcznych i drobnoszlacheckich przez stulecia były woły. Na posiadanie koni mogli sobie pozwolić jedynie ludzie zamożni. Postęp dokonujący się w rolnictwie w XIX stuleciu, wprowadzanie nowoczesnych płodozmianów, a zwłaszcza stosowanie nowoczesnych narzędzi i maszyn rolniczych eliminował siłę pociągową wołów na rzecz koni. Niemniej jeszcze w pierwszych



Na wiosennym pastwisku



Tak było - dzieciaki w kolejce po mleko od krowy (fot. domena publiczna)

latach po I wojnie światowej można było dostrzec na mazowieckich równinach rolników, uprawiających pola w krowy. Obrazki takie były pokłosiem rekwizycji koni, dokonywanych przez armie mocarstw walczących w czasie I wojny światowej.

Liczba posiadanych przez gospodarza *krowich ogonów* - podobnie zresztą jak liczba i wygląd koni – decydowała o pozycji społecznej i prestiżu właściciela w społeczności wiejskiej. Mleko dostarczane przez krowy było niezwykle ważnym składnikiem pożywienia ludności wiejskiej, a dochody uzyskiwane ze sprzedaży jego nadwyżek przerobionych na sery i masło stanowiły istotny filar tradycyjnego gospodarstwa kobiecego. Sprzedaż nabiału i jajek umożliwiała gospodyni m.in. zakup w mieście takich produktów spożywczych, jakich nie miała w domu. Wracając z targu, nie zapominała o pszennej bułce lub innym smakołyku

dla dzieciaków, wypatrujących z utęsknieniem powrotu matki z miasta.

Aby krowy dawały dużo mleka, należało zapewnić im dużo paszy, w myśl popularnych porzekadeł: *Daj krowie we żłobie, to i ona da tobie; Krowa doi gębo* (tj. w miarę jakości paszy). W dawnych czasach wypas bydła odbywał się wspólnie dla całej wsi, na gromadzkich pastwiskach przy zaangażowaniu wynajętego pastucha. Rezygnacja z tej formy wypasu nakładała obowiązek zajmowania się bydłem członków każdej rodziny oddzielnie. Zwykle było to zajęcie podrostków i dzieci. Opieka nad oborą i zapewnienie bydłu paszy przez cały rok należało do obowiązków męskich. Udojem, przetwórstwem mleka i wyrobem nabiału zajmowały się kobiety.

Współcześnie w gospodarstwach nastawionych na produkcję mleka proces udoju jest zautomatyzowany, ale jeszcze nie tak dawno

w wszędzie odbywał się ręcznie. Kobieta zasiadała wygodnie na specjalnym stołku ustawionym przed krowim wymieniem, trzymając między nogami wiadro lub skopek i rytmicznie pociągając za cycki (uczenie nazywane strzykami), kierowała strumienie mleka do naczynia. Skopek to dawno na Mazowszu zapomniane naczynie bednarskiej roboty (tzn. wykonane z klepek) do dojenia krów. Przypominał on kształtem małe wiadro o rozszerzających się ku górze ściankach i zawsze miał jedną klepkę dłuższą, służącą za uchwyt. Krowy – na ogół zwierzęta spokojne – miewały czasami swoje humory i trzeba się było nabiedzić, aby niespokojne bydlę wydoić. Niepokojone przez owady zwierzę mogło machnąć ogonem i dotkliwie uderzyć po oczach dojącą je kobietę lub niespodziewanym wierzgnięciem nogi wylać mleko z wiadra.

Ciepłe, pieniące się jeszcze w wiadrze mleko *prosto od krowy* miało wielu amatorów, także wśród dzieci, które latem biegły na bosaka do obory z kubkami w dłoniach, aby matka napełniła je mlecznym przysmakiem. Mleko z każdego udoju należało precedzić, aby oddzielić drobne nieczystości i paprochy, które dostały się do niego w czasie dojenia. Najprostsze cedzidła to kawałki płótna, zastąpione w późniejszych czasach przez kawałki gazy i specjalne metalowe sitka do mleka, nazywane *cackami*.

Część świeżego mleka rodzina konsumowała na bieżąco, z pozostałej części gospodynie wyrabiały nabiał. Surowe mleko służyło jako napój, którym popijano chleb i kartofle w trakcie posiłku. Mleczne potrawy gotowane należały do tradycyjnego chłopskiego jadłospisu śniadaniowego. Jadano zacierki na mleku oraz wszelkie kasze (jęczmienną, jaglaną, gryczaną). Dodatkiem do tych potraw bywały kartofle, które podawano zazwyczaj na tzw. *przybierkę*. Skąpa lub przesadnie oszczędna gospodyni dodawała czasami wody do gotowanego mleka, skutkiem



Skopek do mleka

czego potrawy stawały się mniej smaczne. Owe praktyki znalazły odzwierciedlenie w przysłowiu zarejestrowanym w okolicach Opinogóry: *Dobra kasa z mlickiem bywa, jak i wody nie doliwa, a jak wody nabomboli, to od kasy brzucho boli*. Latem jadało się dużo zsiadłego mleka. Było ono szczególnie smaczne, kiedy podawano je na stół w glinianej dzieźce, pokryte grubą warstwą śmietany i wystudzone w piwnicy. W takiej postaci smakowało wyjątkowo z młodymi kartofelkami, posypanymi koperkiem i polanymi masłem lub wiercącą w nosie okrasą z wędzonego boczku. Współcześnie takim rarytasem mogą się raczyć jedynie szczęśliwcy mający dostęp do mleka *prosto od krowy*. Jerzy Grzymkowski, wspominając swoją młodość spędzoną na wsi pomiędzy Głinojeckiem i Płońskiem, taką pochwałę wystawił tej prostej potrawie: *A mleko w dzieżkach wystudzone w piwnicy ...! Chyba już nigdy w życiu nie jadłem tak dobrego zsiadłego mleka jak u babci. Wybierało się je tychę wprost z glinianej dzieżki, uprzednio wyparzonej pokrzywami i wywietrzonej na płocie. Można je było nożem kroić, jak mawiała babcia. Miało smak, którego nie można porównać z niczym¹.*

¹ J. Grzymkowski, *Smak ulęgatek*, Warszawa 1980, s.34.



Gliniane naczynia na mleko

Na wystudzonym mleku pojawia się warstwa słodkiej śmietany. Gospodynie zbierały ją z powierzchni mleka łyżką do glinianych dziezek. Wydajniejszym i wygodniejszym sposobem oddzielania śmietany od mleka było stosowanie specjalnie przeznaczonych do tego celu blaszanych baniek. Bańkę napełnioną świeżym, precedzonym mlekiem wstawiała gospodyni do wiadra, cebrzyka, balii lub innego naczynia z zimną wodą. Praktykowano także zanurzenie na kilka godzin uwiązanej na łańcuchu bańki w studni. Nie można było dopuścić do rozlania jej zawartości, bowiem groziło to zapaskudzeniem wody i w konsekwencji koniecznością jej wybierania do samego dna studni. Częściej źródłem zgrzyoty gospodyń bywali kawalerowie dręczeni przez poranny kac, wracający letnią porą nad ranem z wiejskich potańcówek. Cierpiący katusze młodzieńcy podkradali się do studni i raczyli wychłodzonym mlekiem, a zwłaszcza śmietaną. Każda bańka posiadała na

dole mosiężny kranik i pionową szybkę. Kranik umożliwiał spuszczenie mleka do podstawionych naczyń, a szybka pozwalała śledzić jego poziom i wychwycić moment, kiedy należy zakręcić kranik i przystąpić do spuszczenia śmietany. Pod koniec XIX stulecia w Europie rozpoczęto przemysłową produkcję wirówek do mleka. Urządzenia te, nazywane także centryfugami (fachowo także separatorami), zyskały z czasem popularność także w Polsce. Na Mazowszu, gdzie przeważały małe gospodarstwa, wirówka do mleka bywała rzadkością. Urządzenie składało się z metalowego korpusu (z mechanizmem, wprawianym w ruch korbą) i pojemnika na mleko. Zasadniczym elementem wirówki był tzw. *bączek*, złożony z metalowych talerzyków, ułożonych jeden nad drugim. Kręcenie korbą wprawiało bączek w ruch wirowy, a wytwarzana w ten sposób siła odśrodkowa oddzielała gęstszą i cięższą śmietanę od mleka. Spływająca do podstawionych naczyń śmietana była bardzo



Ręczne zbieranie śmietany z mleka

gęsta, można nią było smarować chleb jak masłem. Wirówek (także tych powojennych, elektrycznych) używały w zasadzie jedynie te gospodynie, które hodowały dużo krów i handlowały na rynku nabiałem.

Mleko i śmietana były na bieżąco wykorzystywane do przyrządzania potraw, w części poddawane dalszej obróbce. Z mleka gospodynie robiły twaróg i sery, a ze śmietany masło. Mleko przeznaczone na twaróg i sery należało najpierw skwasić, czyli doprowadzić do stanu, aby się zsiadło w temperaturze pokojowej, a następnie ogrzewać na ogniu. W momencie, kiedy gęsta, biała masa oddzieliła się w garnku od płynu (serwatki), należy ją ostudzić, po czym przełożyć na sito (durszlak) lub do płóciennego woreczka i odstawić na pewien czas, aby z grudek ściętego mleka wyciekły pozostałości serwatki. I teraz twaróg jest już gotowy. W zależności od zawartości tłuszczu (śmietany) w mleku, twaróg przybiera barwę białą lub kremową.

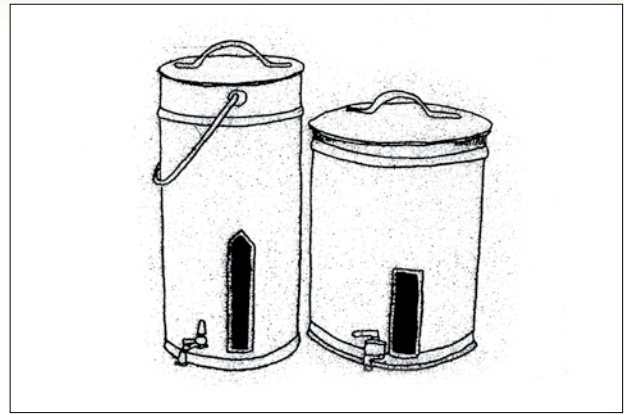
Aby z twarogu zrobić biały ser, należało poddać go dalszej obróbce. Trójkątny płócienny woreczek (rożek) wypełniony twarogiem wisiał przez kilka godzin na kołku wbitym w ścianę lub na klamce u drzwi, aby ściekły z niego pozostałości serwatki do podstawionego naczynia. Po odsączeniu serwatki woreczek należało zakręcić lub zawiązać i przełożyć do specjalnej prasy (*sernicy*). Narzędzie to występowało na Mazowszu w kilku odmianach. Najpopularniejsza prasa do sera składała się z dwóch odpowiednio obrobionych deseczek, połączonych na jednym końcu paskami skóry lub metalową zawiasą. Pomiędzy deski wkładano woreczek z twarogiem i silnie dociskano z drugiej strony za pomocą drewnianej lub metalowej śruby. W prasie ser otrzymywał swój charakterystyczny kształt, przypominający klin, i wyciskane były z niego resztki serwatki. Bywały także podobne prasy, ale bez śruby, obciążane ciężkim przedmiotem zawieszanym na końcu



*Centryfuga (wirówka do mleka),
(fot. domena publiczna)*

długiej listwy wystającej poza prasę, a dociskającej górną deskę. Jeżeli gospodyni nie miała prasy, mogła także odcisnąć ser, umieszczając woreczek z twarogiem pomiędzy dwoma kawałkami desek i obciążając taką prowizoryczną prasę kamieniem. Bywały także prasy do sera osadzone na stołku. Ich podstawę stanowił stołek wsparty na czterech nogach, w którym były dwie pionowe beleczi połączone w górze poprzeczką. W stołku i poprzeczce znajdowały się otwory, w których tkwiły końce deseczek ściskających sery. Po umieszczeniu w prasie woreczka z twarogiem ściskano ją za pomocą drewnianych klinów. Ubocznym produktem wyrobu serów była serwatka. Szczególnie latem uchodziła za ceniony, orzeźwiający napój, skutecznie gaszący pragnienie. Bywała także składnikiem kwaśnych polewek.

Wiosną, kiedy bydło wychodziło na pastwiska i żywiło się lepszą paszą niż w zimie, krowy dawały znacznie więcej mleka. Zaradne gospodynie, dysponujące nadwyżkami mleka,



Bańki na mleko

przystępowały wówczas do wyrobu serów suchonych, które można było przechowywać przez kilka miesięcy. Aby uzyskać ser suszony, należało ser twarogowy suszyć i przechowywać w zacienionym, przewiewnym miejscu. W większych warunkach najlepszym miejscem do tego była *góra*, czyli strych chałupy. Ser można było suszyć w kształcie klina wyjętego z prasy, pokruszony na małe grudki lub uformowany w gomółki. Helena Smolińska pochodząca z Trzianki pod Ciechanowem przekazała taki sposób wyrobu sera suszonego. Z dobrze wyciśniętego twarogu formowało się gomółki, po czym zanurzano je na chwilę w serwatce i rozkładano na desce, aby wyschły – zazwyczaj na murku od pieca lub w innym suchym miejscu. Wysuszone gomółki składała gospodyni do woreczka i wieszała w komorze lub na strychu chałupy. W Trziance (także w Szulmierzu, Kownatach i Ościsławie) do suszonego sera nie dodawano żadnych przypraw. Ser suszony miał barwę białą-szarą lub słomkową, co było uzależnione od ilości tłuszczu pozostawionego w mleku przeznaczonym do przerobu. Taki ser jadano, przegryzając chlebem, ale częściej sam bez chleba. W Trziance i Szulmierzu jego kawałki posypywano wówczas solą lub cukrem, smarowano masłem, powidłami czy domowej roboty marmoladą z jabłek.

Wieś mazowiecka nie знаła białych serów podpuszczkowych, dostępnych obecnie

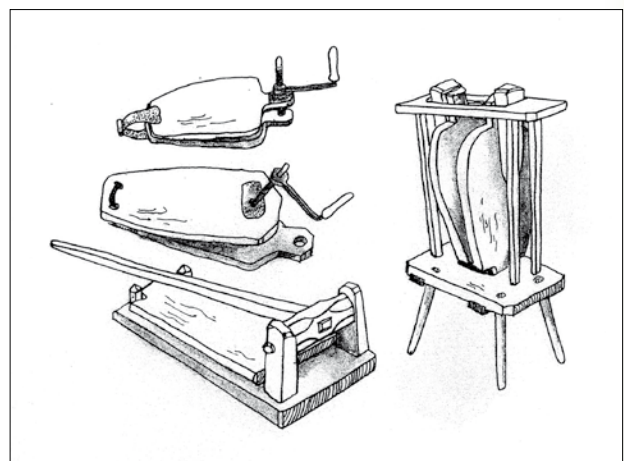


Twaróg

w całym kraju, nie jadali mazowieccy chłopci również żółtych serów twardych. Znacznie bogatszym asortymentem wyrobów nabiałowych mogła pochwalić się kuchnia dworska. Dwór – zwłaszcza duży – musiał wyżywić więcej ludzi niż rodzina chłopska, dysponował także znacznie większymi ilościami mleka do przerobu na nabiał, który z kolei trzeba było w odpowiednich warunkach przechowywać. Gospodyni wiejska zapasy suszonego sera wkładała do płóciennych woreczków i trzymała je w koszyku na strychu lub w innym zakamarku chałupy. W dworach do przechowywania serów służył mały, ciekawy architektonicznie budynek, nazywany sernikiem, sernicą albo lesicą. Z. Gloger tak pisze o tym budynku: *Sernik albo lesica – budynek kwadratowy pokryty gontami lub słomą, na wysokim słupie albo na czterech, do obsuszania serów i gomótek*. Ks. Kluk pisze: „W serniku świeżo robione sery suszą”. Nazwa *lesica* poszła od ścian robionych niekiedy dla lepszego przewiewu z lasek leszczyny. Jeżeli ściany



Ser wyciśnięty w prasie (fot. domena publiczna)



Prasy do sera z okolic Ciechanowa



Zsiadłe mleko z młodymi kartoflami

były z bali, to zwykle z mnóstwem nawierconych dziur. Do sernika wchodziło po przystawionej drabinie. Znajdujący się dawniej przy każdym dworze i dworku sernik dowodził pewnego rodzaju i zamilowania gospodarstw mlecznych².

Adam Mickiewicz uwiecznił sernicę w poemacie *Pan Tadeusz*:

*Stała w ogrodzie, prawie pod samym parkanem,
O który się opierał Ryków swym trójgranem,
Wielka, stara sernica, budowana w kratki
Z belek na krzyż wiązanych, podobna do klatki.
W niej świeciły się białych serów mnogie kopy:
Wkoło zaś wahały się suszące snopy
Szałwiji, benedykty kardy, macierzanki,
Cała zielna domowa apteka Wojszczanki.
Sernica miała w górze wszerz sążni półczwarta,
A u dołu na jednym wielkim słupie wsparta
Niby gniazdo bocianie. Stary słup dębowy
Pochylił się, bo już był wyniósł do połowy³.*

² Encyklopedia staropolska t.4, Warszawa 1978, s. 227.

³ A. Mickiewicz, *Dzieła. Pan Tadeusz*, Warszawa 1955, t. 4, s.263.

Dzisiaj nie ma dworów tętniących życiem, nie ma także sernic. Jedyne bodajże obiekty tego typu znajdują się obecnie w skansenie w Ciechanowcu, a stanowią współczesną rekonstrukcję wykonaną wg rysunku Z. Glogera.

Biały krowi ser zawsze był ważnym składnikiem pożywienia. Można wymieniać wiele potraw, w skład których wchodził, poczynając od staropolskiej piwnej polewki z serem, małdrzyków (mądrzyków), obrzędowych kołaczy serowych i pierogów, po *serki z Piątnicy* czy panna cottę i paschę wielkanocną. Ser znalazł trwałe miejsce także w innych dziedzinach kultury ludowej. Oto kilka przysłów i porzekadeł, znanych do chwili obecnej w okolicach Ciechanowa: *Śmieje się jak głupi do syra; Głupi ty, na syra, na!*; *Zdobyła się babka na syrek; Chto ma chlib z syrem, z głodu nie umrze; Zeby tak syr buł, jak masła ni ma, mąki przypozycuł, a kury się narodziły, dopiru by pierogów nagotował; Ślimak, ślimak, pokaż rogi, dam ci sera na pierogi!* Ser pełnił także funkcje obrzędowe. Wchodził m.in. w skład święconego jądła przeznaczonego na wielkanocny stół, a w przeszłości



Przecieraki z twarogiem

należał prawdopodobnie do potraw zaduszných. Do czasu ostatniej wojny w Kargoszynie istniał ciekawy zwyczaj pogrzebowy. Pochodzący z tej wsi Lech Ropelewski relacjonował przed laty: *Przed pogrzebem trumna z ciałem jechała z domu na noc do kościoła, do fary. Nabożeństwo w kościele i wyprowadzenie na cmentarz było na drugi dzień. Trumna z ciałem jechała na wozie, a do krzyża odprowadzała zmarłego cała wieś, tzn. kto mógł. Od krzyża z trumną jechało na wozie do kościoła już tylko kilkoro ludzi, zwykle mężczyźni, a wszyscy pozostali, którzy odprowadzili zmarłego do krzyża, szli do domu zmarłego „na syrek”. To nie była konsolacja, ale szybki poczęstunek. Na co rodzinę było stać, tym częstowała. Nazywało się to z dawien dawna „iść na syrek”. Pewnie kiedyś dawali do jedzenia tylko chleb z serem. I jeszcze jedna ważna sprawa. Wóz, co wiozł trumnę do kościoła, wysłany był słomą. Jak wracał do wsi, to jeszcze przed krzyżem trzeba było tę słomę z wozu dokładnie zebrać i spalić, bo inaczej zmarły mógł szybko pociągnąć za sobą na cmentarz kolejnych ludzi ze wsi i znowu wieś poszłaby na syrek.*

Oddzielona od mleka słodka i kwaśna śmietana służyła jako składnik wielu potraw, zwłaszcza zup, sosów i ciast. Najstarsze pokolenie pamięta zapewne, jakim przysmakiem w dzieciństwie była kromka chleba polana esencją herbacianą i posypana cukrem, oraz jakim rarytasem stawała się ta sama kromka polana gęstą śmietaną i posypana cukrem. Wśród wiejskich potraw, które nie mogły obejść się bez śmietany, można wyróżnić w szczególności dwie: mizerię i zieloną sałatę. Na stołach ludzi zamożnych potrawy te stanowiły jedynie dodatek do drugiego dania, w izbie chłopskiej w okresie lata podawane z suto omaszczonymi młodymi kartoflami, stanowiły niekiedy cały obiad. Trzeba jednak pamiętać, że zarówno pokrojone w plasterki ogórki, jak i ugnieciona rękami gospodyni sałata pływały w dobrej jakości śmietanie. Remigiusz Kawecki – miłośnik dobrej kuchni – wspominał przed laty: *Oj panie, jaka to była sałata, co ją robiła moja mama na Śmiecinie. I tak samo robiła Nacia w Nużewku i ciotka Dąbrowska w Kownatach, ale najlepszą to*



Ślimak, ślimak pokaż rogi, dam ci sera na pierogi

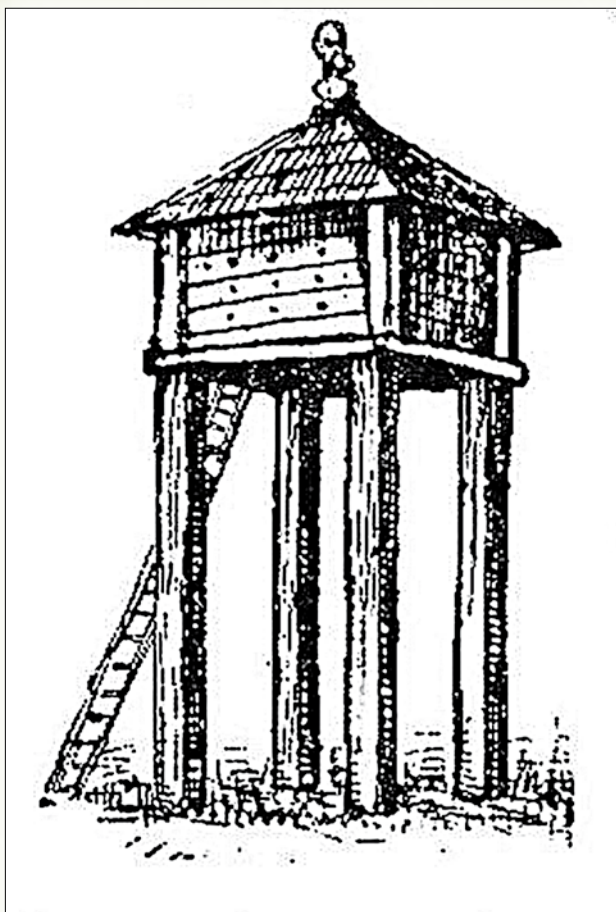
chyba robiła moja teściowa w Kargoszynie. Salata była tak fest ugnieciona rękami i zalana panie śmietaną, jakoś tak doprowadzona na kwaskowato, ale bardzo smacznie. Salaty jadło się dużo w lato, często na obiad w niedzielę. Piekla moja teściowa młode kurczaki pieczone w śmietanie, a do nich były młode kartofelki polane skwareczkami i często salata. Aj panie jaki to był obiad, niebo w gębie. A mojej Helenki nie mogę się doprosić, żeby mi takiej salaty zrobiła. Mówi, że mam zachcianki, że to nie modne, a śmietana na wątrobę szkodzi.

Ze śmietany wyrabia się także masło. Kalman Segal, polsko-żydowski pisarz pisze: *W Polsce masła nie brakło, było go pod dostatkiem na wszystkich rynkach, placach targowych i sklepach. Z masła wyrabiano nawet mydło toaletowe, doskonale pieniące się na delikatnej skórze pań. Masło jedli wszyscy – z wyjątkiem chłopów polskich, wszyscy z wyjątkiem tych, którzy pieszo wędrowali w poszukiwaniu pracy*⁴. Do wyrobu masła – podobnie jak do serów – używano różnych narzędzi. Najpopularniejszym z nich była kieżanka (kiżanka). Było to wysmukłe naczynie klepkowe o okrągłym dnie, składające się z trzech części: pojemnika na śmietanę (kieźni), szczelnie dopasowanej nakrywy i poruszanego wewnątrz naczynia tłuczka (bijaka). Bijak tworzyła długa żerdka zakończona na dole wyokrągloną ażurową deseczką lub dwiema

listewkami zbitymi na krzyż. Przeciwny koniec żerdki wystawał znacznie ponad kieżankę i służył za rękojęść. W nakrywie kieżanki był otwór, przez który osoba wyrabiająca masła regularnie uderzała bijakiem z góry na dół. Niektóre kieżanki posiadały jeszcze drewnianą uszczelkę (jaszczyk), nakładaną na rękojęść bijaka i otwór w nakrywie, co uniemożliwiała wychlapywanie śmietany w czasie ubijania. W gospodarstwach dysponujących większą ilością śmietany do wyrobu masła używano maślnic, nazywanych *baranami*. Urządzenie to przypominało drewnianą skrzynkę z ruchomą nakrywą. Wewnątrz skrzynki znajdowała się pozioma ośka z osadzonymi na niej czterema ażurowymi skrzydełkami. Korba, stanowiąca na zewnątrz przedłużenie ośki, wprawiała w ruch obrotowy skrzydełka, a te biły śmietanę. Niewielkie ilości śmietany można było przerobić na masło, używając dużej szklanej butelki, którą silnie potrząsano. We dworach do wyrobu masła używano znacznie większych maślnic obrotowych produkcji fabrycznej. Urządzenia te przypominały czasami beczki wsparte na metalowych nóżkach lub osadzone na specjalnych podstawach.

W czasie bicia śmietany wytrącają się z niej po jakimś czasie grudki kremowego, żółtego tłuszczu. Grudki te przekładano do naczynia z zimną wodą i dokładnie płukano z resztek maślanki. Ostatnim etapem pracy przy wyrobie masła było formowanie osełek i zdobienie ich łukowatymi wgłębieniami, wykonanymi łyżką. Gotowe osełki, owinięte w chrzanowe lub kapuściane liście, czekały swojego przeznaczenia w chłodnej piwnicy. Na bieżące potrzeby masło wkładała gospodyni do glinianej dzieżki lub kamionkowego garneczka. W tradycyjnej kuchni wiejskiej masło nie odgrywało istotnego znaczenia. Przegrywało ze smalcem, sadłem, słoniną i boczkiem, które miały dawać ludziom ciężko pracującym fizycznie więcej siły niż delikatne

⁴ Kalman Segal, *Opowiadania z zabitego miasteczka*, Kraków 2018, s. 113.



Sernica – rysunek Z, Glogera, Encyklopedia staropolska, t. IV, s. 227



Sernica w Muzeum Rolnictwa w Ciechanowcu

masło, dobre dla dzieci, chorych, a przede wszystkim dla państwa we dworze i mieszczuchów. Stąd też oselki masła częściej trafiały na rynek niż na chłopski stół. Walory masła wieś zaczęła bardziej doceniać i więcej konsumować dopiero w ubiegłym stuleciu. Dzisiaj chyba rzadko kto przełożyłby gleń *chleba ze szmalcem* nad pachnącą pajdę odrobinę jeszcze ciepłego chleba z wiejskiego pieca, posmarowaną świeżo utłuczonym masłem, polanym odrobiną lipowego miodu. Ubocznym produktem wyrobu masła jest maślanka. Stanowiła zawsze ceniony napój, używano jej do doprawiania niektórych zup lub spożywano z chlebem i kartoflami. W okolicach Ciechanowa znane są takie przysłowia i porzekadła związane z masłem: *Tak się ma, jak pączek w maśle*; *Idzie jak po maśle* (tzn. bardzo dobrze); *Bulka z masłem* (o czymś prostym, niesprawiającym problemów); *Dostaniesz za to*

pomazanke na kurpiu (tzn. chleba z masłem na łapciu z niewyprawionej skóry lub z łyka).

*

Na wsi panował niegdyś wielki strach przed czarownicami, które miały stanowić wielkie zagrożenie dla bydła, a zwłaszcza dla krów dających mleko. Niektóre choroby zwierząt, a zwłaszcza utrata mleka miały być sprawką czarownic, które dzięki swoim wszechczynnym praktykom były zdolne odbierać mleko krowom sąsiadów, by doić je u siebie. Opowiadano przedziwne historie o kobietach-czarownicach mających uprawiać ten proceder. Podejrzenie o czary częstokroć padało na kobiety trudniące się ziołolecznictwem. Widok kobiety przemierzającej o świcie pastwiska, ugory i miedze w poszukiwaniu ziół nasuwał przypuszczenie, że zbiera ona materiał na czary. Rośliną szczególnie pomocną czarownicom w uprawianiu



Ubijanie (tłuczenie) masła w kierzance



Płukanie ubitego masła w zimnej wodzie

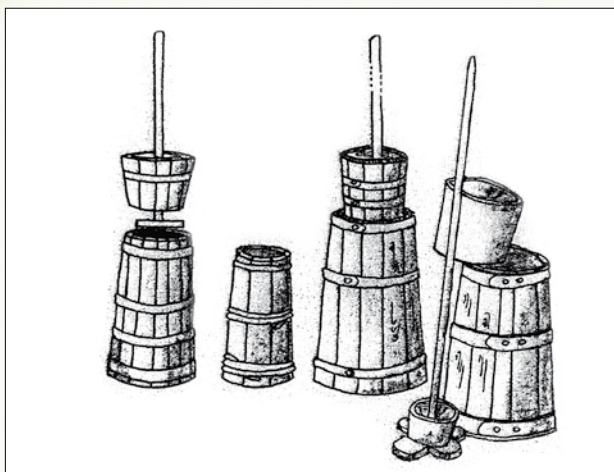


Osełki masła

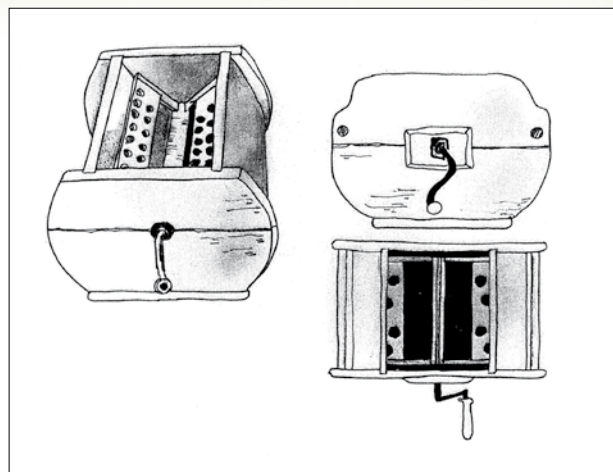
ich niecnego procederu miała być cykorja podróżnik (*Cichorium intybus* L.). Jeżeli znalazł się usłużny świadek, który rzekomo na własne oczy widział w dłoniach kobiety kawałek płótna (takiego samego jak używany do cedzenia mleka) i na własne uszy słyszał, jakoby pochylona niewiasta coś niezrozumiałego mamrotała i szeptała zaklęcie: *Biere pożytek, ale nie wsystek, biere pożytek, ale nie wsystek!*, to stosunek społeczności do rzekomej czarownicy był przesądzony. Aby ustrzec się przed złym okiem, stosowano różne zabiegi. Skuteczną ochroną przed czarami miała być gromnica, zawieszona na drzwiach obory w wigilię uroczystości św. Jana Chrzciciela, także krzyżyki rysowane na drzwiach obory poświęconą kredą oraz okadzanie wymion krowich dymem z wianków, poświęconych w oktawę Bożego Ciała. Przed czarami miały chronić również gałązki bylicy zwyczajnej,

piołunu i łopianu wtykane w poszycie dachów obór i szpary ścian drewnianych budynków. „Korespondent Płocki” w numerze 19 z 1879 r. donosił: *W Ciechanowskiem w wigilię św. Jana Chrzciciela wieczorem wieszają gromnice na drzwiach w chlewie, żeby czarownica do mleka nie weszła... Na koniec w tym dniu kadzą krowy wiankami święconymi na Boże Ciało.*

Latem jest już mniej paszy na pastwiskach niż wiosną, więc krowy zaczynały dawać mniej mleka lub wcale, a fakt ten przypisywano aktywności czarownic. Zgroza i złość ogarniała domowników, kiedy krowy raptownie traciły mleko lub gospodyni nie udawało się masło. Od samego rana zaczynały się wówczas poszukiwania dowodów na szalbierstwo czarownicy. Jednym z nich miała być biało-kremowa maź, widoczna czasami na niebielonych ścianach drewnianych domów. Wierzono, że owa substancja to zaklęte przez czarownicę masło



Maślnice kieżanki



Maślnice barany

i śmietana z ukradzionego mleka. W rzeczywistości był to utwór morfologiczny grzybów, atakujących zawilgocone drewno. Ratunek na odczynienie rzuconego uroku, a tym samym odzyskanie mleka był ponoć taki – należało złapać psa na ręce, podnieść mu ogon do góry i psim tyłkiem wytrzeć dokładnie kremową masę ze ściany. Niezależnie od tego rytuału domownicy prowadzili śledztwo w celu ustalenia sprawcy nieszczęścia. Dociekali, kto wchodził na podwórze, kto zaglądał do obory, kto z odwiedzających ma złe oczy. Podejrzenie mimo wszystko zawsze padało na gospodynię, której krowy dawały najwięcej mleka w całej wsi. Przed półwieczem leciwe gospodynie z Szulmierza i Ościsłowa, niby z przymrużeniem oka, ale i z pewną dozą przekonania o skuteczności przekazu podały receptę, jak zostać czarownicą. Kobieta chcąc nią zostać musiała zaprzedać się diabłu Rokicie, który – jak wierzono – mieszkał chętnie w starych wypróchniałych wierzbach. Zdeterminowana niewiasta szła w samo południe (najlepiej w wigilię uroczystości św. Jana Chrzciciela) w ustronne miejsce, gdzie rosła odpowiednia wierzba i recytowała formułkę (znaną także w innych rejonach Mazowsza): *Rokita! Rokita! Przyszła do ciebie kobita. Oddaję ci duszę i ciało, bo mi się śmietany i masła zachciało.*

Szkodnikami kradnącymi mleko krowom miały być także ... ropuchy. Wierzono, że te paskudne stworzenia mogą swoimi ślepiami zahipnotyzować krowę, że ta staje nad płazem, który otwiera pysk i mleko samo mu do niego leci. Przywołany wcześniej J. Grzymkowski w wspomnieniach dzieciństwa pisze: *Okazało się więc, że nieboszczęce Kowalskiej czy Pawelskiej krowy kiedyś raptem przestały dawać mleko, mimo że były dopiero po cieleniu. Podejrzewano nawet, że to strzyga. Zwrócono nawet uwagę na jedną z sąsiadek, która ponoć miała jakieś chachmęty ze złym. Dopiero jakoś przypadkowo okazało się, że krowy doją ropuchy. Wyraziłem niejakię niedowierzanie. Miałem przecież pojęcie o tym, że aby wydoić krowę, trzeba ją pociągnąć za cycek. Dziadek pociągnął uczciwie swego dulca [skrepta], splunął pod nogi, jakby z obrzydzeniem na moją głupotę i ciemnotę i wyjaśnił bardzo poważnie, że ropucha wzrokiem zmusza krowę do puszczenia mleka, otwiera pod nią pysk i mleko samo jej do niego splywa. Miałem wtedy niewiele ponad dziesięć lat i nie miałem powodu, żeby nie wierzyć dziadkowi⁵.*

Tekst i ilustracje
Tomasz Czerwiński

⁵ J. Grzymkowski, *Smak ułęgalek*, Warszawa 1980, s.169.